

KRZYK ROZPACZY | KRÓTKA HISTORIA PRYWATYZACJI | SIŁA KOBIET W TRUDNYM CZASIE

nasze czasopismo

Nr 06-07-08/2020 • www.naszezasopismo.com.pl

ISSN 2543-7151 • INDEKS 417165 • Egzemplarz bezpłatny

A portrait of Andrzej Halicki, a middle-aged man with short, light brown hair, wearing a light blue blazer over a white shirt. He is smiling slightly and looking directly at the camera. The background is a blurred outdoor setting with green foliage and a stone wall.

SZANSA NA ZMIANĘ ZALEŻY OD NAS

O zmianach ustrojowych w Polsce i jej miejscu we Wspólnocie Europejskiej
z europosem Andrzejem Halickim rozmawia Dorota Ceran

nasze czasopismo

Szanowni Państwo,

Na początku 2016 roku, w odpowiedzi na otaczającą rzeczywistość i upolitycznienie mediów, powstało „Nasze Czasopismo”. Gazetę współtworzą profesjonalni dziennikarze, eksperci, pasjonaci z różnych dziedzin, a także Wy - nasi Czytelnicy. Mieliśmy wielu znamienitych gości, a tematy gospodarcze, społeczne, kulturalne czy prawne nie są nam obce.



Jesteśmy pismem opiniotwórczym innym niż pozostałe. Promujemy nowoczesne postawy, wolność w życiu społecznym i gospodarczym. Poruszamy tematy nieobecne w mediach głównego nurtu. Publikacje kierujemy do każdego zainteresowanego sprawami wykraczającymi poza własne „cztery ściany”. Do tych, którzy nie chcą żyć według gotowej recepty na życie, przygotowanej przez innych. „Nasze Czasopismo” to miejsce otwarte dla każdego, kto chciałby podzielić się swoimi refleksjami z innymi.

„Nasze Czasopismo” dostępne jest na terenie całej Polski w salonach Empik i na www.empik.pl oraz w dystrybucji bezpośredniej: redakcja@naszeczaspismo.com.pl
Jesteśmy też obecni online na: www.naszeczaspismo.com.pl

Bieżący numer, z uwagi na ogłoszony stan epidemii, oddajemy Państwu w bezpłatnej wersji online. Zachęcamy jednocześnie do wsparcia naszej działalności poprzez darowizny wpłacane na nasz rachunek bankowy lub za pośrednictwem zrzutki.

Prenumerata: redakcja@naszeczaspismo.com.pl

Zapraszamy do współpracy. Propozycje tekstów, ale też rysunków czy fotografii można wysyłać na adres: redakcja@naszeczaspismo.com.pl.

Wszystkich, którzy wierzą w wizję „Naszego Czasopisma” i chcą pomóc w wydawaniu kolejnych numerów, zapraszamy do wsparcia miesięcznika poprzez darowiznę:

PINIA sp. zo.o.

nr rachunku bankowego: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001 (tytuł wpłaty: darowizna)
lub: <https://zrutka.pl/mx5xm8/wplac>

bądź zamieszczenia reklamy na łamach naszego pisma w wersji papierowej oraz online. Oferta reklamowa jest tworzona indywidualnie. Kontakt: marketing@naszeczaspismo.com.pl

Radosław Dębiec
Redaktor Naczelny



Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy

Piszę do Państwa w momencie, w którym znane są już wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich. Wyborów, które mogą przynieść przełom i dać kolejne po Senacie przełamanie władzy totalnej, która pod przykrywką walki z niewidzialnym, wyimaginowanym wrogiem, niszczy w kraju demokrację. Na placu boju pozostało dwóch kandydatów. Obecny Prezydent i nadzieja na zmianę – Rafał Trzaskowski. Wielu z nas z niecierpliwością będzie czekać na wygraną demokracji i zmianę mieszkańca Pałacu Prezydenckiego. Jeśli dojdzie do pojedynków kandydatów w debatach telewizyjnych, to ich zachowanie, ich mowa ciała, może wskazać który z nich jest bardziej wiarygodny w oczach wyborców. Sprawdzenie tego może ułatwić podjęcie decyzji przy urnach wyborczych przez niezdecydowanych i przeważać szalę zwycięstwa. Zachęcam do przeczytania artykułu Kamy Scudder, która wyjaśnia czym jest język gestów i jak odczytać mowę ciała. Umiejętność przydatna nie tylko przy wyborze przyszłego prezydenta.

Epidemia – to temat, który jeszcze długo będzie się pojawiać w przekazie prasowym. Nie zabrakło go również w Naszym Czasopiśmie. Zachęcam Państwa do zapoznania się z artykułem pióra prof. Mirosława Matyji o wpływie epidemii na ekonomię i o tym jak państwa powinny sobie z tym nowym zjawiskiem radzić. Magda Lefier opowiada natomiast o tym, jak rok pandemii będzie zapamiętany w Wielkiej Brytanii. Jak inni radzą sobie z epidemią piszą również Bogumił Lechowicz – o Bawarczykach i Dorota Ceran – o tym, jak wygląda codzienność w Neapolu. Natomiast Andrzej Wroński zajął się krajowym tematem politycznym i przybliżył nam problem dbałości rządu o zdrowie Polek i Polaków (rządu, który zamawia wszystko co jest niezbędne do walki z koronawirusem). Czy to jest dbanie o zdrowie, czy bardziej dbanie o wizerunek rządu w oczach społeczeństwa? O tym szerzej w artykule.

Z końcem poprzedniego roku obchodziliśmy trzydziestą rocznicę przyjęcia Planu Balcerowicza. Jednym z elementów planu była prywatyzacja. Ówczesne państwo było bankrutem i oddawało w prywatne ręce przedsiębiorstwa. Adwokat Andrzej Zalewski przypomina nam ten czas w artykule Krótka Historia Prywatyzacji. Natomiast o teraźniejszości, obecnym czasie przemian, o zmianach ustrojowych oraz transformacji jaka odbywa się obecnie w Polsce przeczytaj Państwo w wywiadzie Doroty Ceran z europosem Andrzejem Halickim.

Tym, którym idea „zero waste” jest bliska, polecam artykuł Jacka Malickiego. Autor opisuje ruch społeczny, który od czterech lat w Warszawie prowadzi walkę ze zjawiskiem marnowania żywności.

Nie zabrakło w Naszym Czasopiśmie artykułów o podróżach, tj. o czasach normalności gdy nikt nie słyszał i nie wiedział co to COVID-19, normalności, do której, jak mam nadzieję, bardzo szybko wrócimy. O górach opowiada Bartłomiej E. Nowak, a o Albanii Haxhi Dulla.

Z całego serca zachęcam do zapoznania się najnowszym wydaniem Naszego Czasopisma. Każdy znajdzie w nim coś ciekawego.

Nie zapomnijcie o pójściu na wybory. Każdy głos się liczy. Zachęcam i bardzo gorąco do tego namawiam.

Miłej lektury!

nasze czasopismo



@tomxyzart

nasze czasopismo

ADRES: www.naszezasopismo.com.pl, redakcja@naszezasopismo.com.pl

REDAKTOR NACZELNY: Radosław Dębiec

REDAKCJA: Włodzimierz Witakowski

PROJEKT LOGO I OKŁADKI: Piotr Woźniak

W NUMERZE PISZĄ: Joanna Burnos, Dorota Ceran, Jerzy Cichowicz, Haxhi Dulla, Dr Dariusz Maciej Grabowski, Artur Kołosowski, Liliana Kozielska, Bogumił Lechowicz, Magda Lefier, Jacek Malicki, Prof. Mirosław Matyja, Bartłomiej E. Nowak, Marek Sarjusz-Wolski, Kama Scudder, Piotr Surmaczyński, Włodzimierz Witakowski, Andrzej Wroński, Adw. Andrzej Zaleski, Anna Zielińska

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Sandra Budzyńska

Jeśli chcą Państwo zgłosić nam ciekawy temat, zauważoną nieprawidłowość lub poruszyć sprawę dotyczącą tego, co jest Państwu bliskie:

redakcja@naszezasopismo.com.pl

Pisząc do nas, mają Państwo prawo do zachowania anonimowości.

Materiały niezamówione przez redakcję nie podlegają zwrotowi.

WYDAWCA: PINIA Sp. z o.o.
ul. Chmielna 2/31, 00-020 Warszawa

PINIA

ZARZĄD WYDAWNICTWA:

Ewa Krawczyk-Dębiec (Prezes Zarządu), Karolina Romańska-Kuć

Darowizny można wpłacać na rachunek nr: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001

REKLAMA: marketing@naszezasopismo.com.pl

DRUK: Foldruk-Folion Sp.j.

Nr 06-07-08/2020

TEMAT MIESIĄCA

- 6 Dorota Ceran: SZANSA NA ZMIANĘ ZALEŻY OD NAS
- rozmowa z europosełem Andrzejem Halickim

POLITYKA

- 9 Prof. Mirosław Matyja: ODDOLNA DEMOKRACJA W POLSCE NIE ISTNIEJE
11 Piotr Surmaczyński: POLONIA MA OBOWIĄZEK GŁOSOWAĆ
13 Andrzej Wroński: KRZYK ROZPACZY

EKONOMIA

- 15 Magda Lefier: KRÓLESTWO NA „STANDBAU”
17 Dr Dariusz Maciej Grabowski: OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE ... TRACĄ
19 Włodzimierz Witakowski: MUSIMY OSZCZĘDZAĆ BEZ WZGLĘDU NA KOSZTY
20 Artur Kołosowski, Marek Sarjusz-Wolski: 2G - DWA WYIMAGINOWANE GIGANTY INWESTYCYJNE
23 Adw. Andrzej Zaleski: KRÓTKA HISTORIA PRYWATYZACJI

PRAWO

- 25 Prof. Mirosław Matyja: CO SZWAJCARZY ROBIĄ LEPIEJ OD INNYCH

SPOŁECZEŃSTWO

- 27 Dorota Ceran: NEAPOLIŃSKA PUSTYNIĄ, CZYLI KORONAWIRUS W STOLICY KAMPANII
29 Bogumił Lechowicz: THE DAY AFTER
31 Jerzy Cichowicz: DO SPRAW DYSTANSIK
33 Jacek Malicki: FOODSHARING WARSZAWA - DOBRA SPRAWA
36 Liliana Kozielska: NIE MA PLANETY B.
37 Joanna Burnos: SIŁA KOBIET W TRUDNYM CZASIE - rozmowa z europosełką Elżbietą Łukacijewską oraz joginką Katarzyną Złotkowską

ELIETON

- 5 Prof. Mirosław Matyja: CO WSPÓLNEGO MA EKONOMIA Z ZAUFANIEM?
46 Kama Scudder: JĘZYK GESTÓW

ZDROWIE

- 39 dr n. biol. Anna Zielińska: SKUTKI ZDROWOTNE NARODOWEJ KWARANTANNY

TURYSTYKA

- 41 Haxhi Dulla: ZOBACZYĆ ALBANIĘ
43 Bartłomiej E. Nowak: MOJE GÓRY

Prof. Mirosław Matyja

SZANSA NA ZMIANĘ ZALEŻY OD NAS

**O zmianach ustrojowych w Polsce i jej miejscu we Wspólnocie Europejskiej
z europosem Andrzejem Halickim rozmawia Dorota Ceran**

Wysłuchanie Didiera Reyndersa przez Parlament Europejski w dniu
2 października 2019 r., fot. udostępnione przez Biuro Poselskie
Andrzeja Halickiego

PL

Dzieje świata można przedstawić w formie sinusoidy. Okresy rozwoju cywilizacyjnego i kulturowego są wypierane latami regresu. Antyk – średniowiecze – renesans – barok... W jakim miejscu tego wykresu świat znalazł się w XXI wieku?

Z sinusoidą się raczej nie zgadzam. Każdy okres rozwoju ma swoją charakterystyczną i dominującą cechę. Aktualny moment to dynamiczny i bezpieczny rozwój. Od dawna pomiędzy państwami starego kontynentu nie było globalnego, angażującego dużą liczbę państw konfliktu.

A w jakim momencie cywilizacyjnym jest obecnie Polska?

Polska cały czas jest w okresie transformacji. Z państwa niedemokratycznego, zacofanego gospodarczego zmierzamy w kierunku państwa modelu zachodniego. Z małymi perturbacjami po drodze.

Po obaleniu komunizmu jedną z wartości, jedną z nadziei było odejście od centralizacji władzy i od nacjonalizacji gospodarki. Od 2015 roku obserwujemy wyraźny trend, reprezentowany przez władzę – do powrotu do tych rozwiązań. Jak Pan, jako były rzecznik programu Powszechnej Prywatyzacji ocenia ten trend?

Zdecydowanie negatywnie. Najważniejszym, najtrwalszym i najcenniejszym w okresie polskiej transformacji był moment utworzenia samorządu lokalnego. To na nim, i na prywatnym sektorze gospodarczym opiera się nasza transformacja.

Są jednak przedsięwzięcia, inwestycje, które zwykle są domeną państwa. Na przykład lotniska. Jak Pan, jako osoba, która studiowała ekonomikę transportu lotniczego ocenia zasadność budowy Centralnego Portu Lotniczego w Baranowie? Czy jest w Polsce przestrzeń do budowy nowego portu lotniczego, położonego między dwoma wielkimi miastami, Warszawą i Łodzią?

Przede Wszystkim przyszłość należy do lotnisk regionalnych. Będziemy obser-



Janusz Lewandowski, Antonio Tajani i Andrzej Halicki w Parlamencie Europejskim, fot. udostępnione przez Biuro Poselskie Andrzeja Halickiego

wować odejście od budowania wielkich HUBów, a pod Warszawą mamy bardzo dobrze prosperujący port lotniczy w Modlinie. Na Mazowszu mamy jeszcze Radom. Budowa tak ogromnego lotniska jak CPK wydaje się być nieuzasadniona.

Wydawałoby się, że tak jaskrawe przejawy nostalgii władzy wobec minionych czasów PRL-u, skutecznie zniechęcą społeczeństwo. Okazuje się, że nie, że znaczna część suwerena akceptuje te powroty. Czy to efekt skutecznej propagandy, czy jest jakiś inny powód?

Zawsze łatwo jest powiedzieć, że coś się komuś należy bez pracy, bez wysiłku i na

zasadzie przynależności grupowej. PRL to było szastanie obietnicami i przywilejów, które nigdy nie były dane społeczeństwu. Państwo PiS to wiele przywilejów dla szczególnej grupy społecznej, często powiązanej z władzą. To zabieg socjologiczny, a nie dzielenie się dobrobytem. Nie widzę tutaj nostalgii za PRLem, widzę za to prymitywny populizm i wyzwalanie najgorszych emocji. Czyli dzielenie społeczeństwa i przeciwstawianie przeciw sobie różnych grup społecznych.

Jak wygląda obecnie Polska z perspektywy Brukseli, widzimy z licznych przekazów medialnych. Czy jest szansa na zmianę?



Polscy posłowie do Parlamentu Europejskiego IX kadencji (2019-2024), fot. udostępnione przez Biuro Poselskie Andrzeja Halickiego



Grupa z Polski w Parlamencie Europejskim, fot. udostępnione przez Biuro Poselskie Andrzeja Halickiego

Szansa na zmianę zależy od nas. To my musimy zmienić obecny stan rzeczy. Polska ma dobry wizerunek, z jednym zasadniczym pytaniem. W Brukseli nie rozumiemy polskich zmian politycznych, pamięta się jednak prezydenta Lecha Wałęsę, rząd Tadeusza Mazowieckiego, poparcie dla intensywnej integracji europejskiej a także ogromny i szybki skok gospodarczy. Dzisiaj większość osób pyta, jak to się stało, że ci sami Polacy popierają obecnie retorykę egoizmu, dystansu od Europy i nawet nacjonalizmu.

Komisja Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych, Komisja Spraw Zagranicznych, Komisja Prawna to gremia, w których Pan pracuje w Parlamencie Europejskim. Wszystkie cztery mają chyba sporo do omówienia w kwestiach polskich?

Oczywiście. Istotą naszej wspólnoty są zasady, w których państwo prawa, fundamentalne wolności i prawa obywatelskie, które muszą być gwarantowane. Polski rząd łamie te podstawowe zasady, dlatego mamy wiele debat o Polsce.

Każdy z nas, w Polsce, w Europie, na całym świecie, w jakiś sposób przyjął informację o pandemii koronawirusa. Także w kontekście zaufania do władz swojego kraju. Jak Pan to przyjął?

Polski rząd zdecydowanie spóźnił się z reakcją na pandemię. Uprawiając na początku nierozsądną propagandę, zamiast prowadzić działania, które działałyby na rzecz ograniczenia rozwoju pandemii. W drugim etapie rząd podjął działania radykalne i stanowcze, ale znów te działania przystąpiła propaganda. Przez to wszystko Polacy przestali ufać w sens niektórych działań.

Co przyjdzie wcześniej, szczepionka czy nawrót pandemii? Kto wygra ten wyścig według Pana oceny?

Należy liczyć się z drugą falą pandemii. W oczekiwaniu na szczepionkę stosujemy się do zaleceń naukowców.

Rozmawiamy po I turze wyborów prezydenckich. Jakie są Pana refleksje?

W tej chwili stoimy w obliczu drugiej tury, najważniejszych od 89' roku wyborów w Polsce. Od nich zależą w jakim kierunku pójdziemy, a także określą przyszłe miejsce Polski w Europie. ■



Otwarcie biura europośła Andrzeja Halickiego i postanki Kamili Gasiuk-Pihowicz w Mińsku Mazowieckim, fot. Sandra Budzyńska



W Parlamencie Europejskim z Donaldem Tuskiem, fot. udostępnione przez Biuro Poselskie Andrzeja Halickiego

ODDOLNA DEMOKRACJA W POLSCE NIE ISTNIEJE

Większość Polek i Polaków uważa demokrację bezpośrednią za utopię. Mowa tu o systemie politycznym, w którym nie władza, ale obywatele (suweren) mają decydujący głos w sprawach ważnych dla państwa. Opinie zapytanych na ten temat są jednoznaczne: „nie da się”, „ten numer u nas nie przejdzie”, „ludzie są zbyt głupi” albo „to my mamy za nich rządzić?”

Prof. Mirosław Matyja



fot. pixabay.com

Spróbujemy obalić argumenty przeciwko wprowadzeniu magicznego trójkąta w Polsce, a więc instrumentów weta obywatelskiego, inicjatywy obywatelskiej i bezprogowego referendum.

Rządzący nie zgodzą się nigdy na „oddanie władzy społeczeństwu”

Rządzący nie muszą się godzić na „oddanie władzy” społeczeństwu, bo władza należy do suwerena, czyli Narodu. Tzw. góra, która usiłuje kierować losami prawie 40 mln Polaków, musi jedynie zaakceptować zmianę formy rządzenia państwem z uwzględnieniem elementów oddolno-demokratycznych. Wprowadze-

nie instrumentów demokracji oddolnej w Polsce nie stawia całego systemu do góry nogami, tylko go uzupełnia, poprawia i sprawia, że system ten powinien stać się bardziej ludzki i demokratyczny. Poza tym, w systemie prawdziwie demokratycznym władzy się nie zawłaszcza, nie odbiera i nie dzieli.

Polskie społeczeństwo nie dorosło do tego typu demokracji

Spółeczeństwo polskie nie musi dorastać do żadnego typu demokracji. Akurat Polacy przeżyli w historii najprzeróżniejsze systemy ustrojowe. Społeczeństwo, które nie ma możliwości partycypacji we władzy, nie może się rozwinąć jako spo-

łeczeństwo obywatelskie. Ale i vice versa – rzeczywista demokracja nie ma szans powodzenia bez aktywnego udziału obywateli w podejmowaniu ważnych decyzji państwowych. Polakom na pewno nie trzeba udzielać lekcji patriotyzmu ani lekcji etyki chrześcijańskiej.

Demokracja oddolna jest procesem długotrwałym

Proces decyzyjny w systemie demokracji bezpośredniej jest dłuższy, aniżeli w ramach demokracji parlamentarnej. Obserwujemy to na przykładzie Szwajcarii, która dzięki temu unika podejmowania pochopnych decyzji. Spowolniony proces decyzyjny ma swoje zalety, bo nie

podejmuje się nieprzemyślanych decyzji. Są one filtrowane przez całe społeczeństwo, a nie zarezerwowane dla wąskiego grona elit politycznych lub upartyjnionego parlamentu. Decyzje podjęte przy urnie przez elektorat mają większe poparcie społeczne i tym samym są demokratyczne i efektywne.

Funkcjonowanie demokracji oddolnej w Polsce będzie zbyt kosztowne

Pytając o koszty, myślimy z reguły o kosztach administracyjnych demokracji oddolnej. Chodzi tu o zorganizowanie inicjatywy, weta i referendum. Są one jednak znikome w porównaniu ze społeczno-ekonomicznymi kosztami związanymi z podejmowaniem złych, chybionych decyzji w ramach aktualnej semidemokracji parlamentarnej. Przypomnijmy chociażby wyprzedaż polskiego majątku narodowego na początku lat 90-tych. Gdyby wtedy doszło do referendum na ten temat, Polska dzisiaj należałaby do Polaków, a nie do obcych koncernów.

„Oddanie władzy” społeczeństwu oznacza roztrwonienie majątku narodowego

To jest uproszczone rozumowanie. Wydawać się może, że demokracja oddolna daje możliwość obywatelom wysuwania najbardziej nierealnych inicjatyw i wetowania wszelkich ustaw. Nie jest to twierdzenie właściwe. Zebranie podpisów w sprawie inicjatywy czy weta nie jest wcale łatwe. Decyzje rozstrzygają się w referendum, gdzie głos ma cały elektorat, a całość poprzedzona jest kampanią przedreferendalną, w której biorą udział wszystkie ważne siły społeczne i polityczne w kraju. Nie należy też zapominać o tym, że społeczeństwo świadome współuczestniczenia w procesie polityczno-decyzyjnym, przejmuje w pełnym sensie automatycznie odpowiedzialność za losy państwa. Można by też argumentować ironicznie: czy naród jest w stanie roztrwonić majątek narodowy bardziej niż „jego wybrańcy” zrobili to w ciągu ostatnich trzydziestu lat?

Wyróżność prawa unijnego nad prawem krajowym jest nie do pogodzenia

Polska należy do Unii Europejskiej i dlatego prawo unijne stoi ponad prawem krajowym. Wszelkie działania inicjujące zmianę Konstytucji czy ustawy muszą być formułowane w zgodzie z tym prawem. Kancelaria rządu powinna sprawdzać zgodność treści inicjatywy obywatelskiej i weta obywatelskiego z prawem unijnym, zanim w ogóle dojdzie do zbierania podpisów. Ta procedura dotyczy nie tylko prawa unijnego, ale również wszelkiego rodzaju prawa międzynarodowego, które Polska zobowiązała się przestrzegać, podpisując międzynarodowe konwencje (np. prawa człowieka i obywatela).

W Polsce jest za wcześnie na demokrację bezpośrednią

Za wcześnie na pewno nie. Spójrzmy na polską semidemokrację ostatnich trzydziestu lat. Dokąd nas zawiodła? Elementy demokracji oddolnej są szansą na uzdrowienie polskiego systemu społeczno-politycznego i ekonomicznego. Im wcześniej rozpoczniemy ten proces, tym lepiej dla wszystkich jego uczestników.

Rola instytucji państwowych i partii politycznych zostanie osłabiona

Trudno mówić o osłabieniu partii politycznych i instytucji państwowych. Stały się bardziej demokratyczne i będą musiały się liczyć ze społeczeństwem. Jeśli mamy na myśli autorytarny sposób rządzenia państwem polskim przez elity polityczne, to raczej dominacja tych elit zostanie osłabiona, a nie instytucje państwowe. W przypadku partii politycznych nastąpi przewartościowanie ich roli. Przeszaną one być jedynym pomostem między instytucjami państwowymi i społeczeństwem. Nie będą też postrzegane jako „jedyna szansa” na poprawę sytuacji społeczno-politycznej i ekonomicznej w kraju.

Bezprogowe referendum nie odzwierciedla poglądów wszystkich obywateli

Idea referendum progowego jest nieuzasadnionym wymysłem polskiego establishmentu i nie odpowiada założeniom demokracji. Jeśli ktoś nie idzie do urny, głosuje również, tylko że pasywnie.

W ramach demokracji oddolnej, w różnych rzeczowych referendach nastąpi tasowanie się głosujących, którzy raz są zainteresowani jakąś sprawą, poddaną pod głosowanie, innym razem przegłosowywana kwestia jest im obojętna. Frekwencja w referendum nie odgrywa tutaj istotnej roli. Nawet znikomy udział elektoratu w głosowaniu ogólnokrajowym, to znacznie więcej niż liczba posłów w Sejmie. Poza tym, prawdziwa demokracja broni się skutecznie sama. I to do niej należy przyszłość.

Dyskusja o demokracji bezpośredniej

Dlaczego dopiero teraz zaczyna się dyskutować możliwości demokracji oddolnej w Polsce? Powodów jest kilka. Nie ma tradycji oddolnego kierowania państwem w najnowszej historii Polski. Społeczeństwo polskie było i jest rządzane od dziesięcioleci autorytarnie i egoistycznie. Zmieniały się tylko metody i styl rządzenia. Obywatelom trudno sobie wyobrazić inną sytuację, jak tylko tą, w której „jest się rządzonym”. Formy demokracji oddolnej ograniczają możliwości „zdobywania władzy”, tworzenia się elit i celebrytów. Na porządku dziennym jest „praca od podstaw”, a nie patos, powoływanie się na tradycje, chore wizje i przede wszystkim szerokie możliwości korupcji. Tzw. władza, a więc proces dominacji jednostek nad masą, zostaje w demokracji oddolnej zredukowana – a to przecież nie wszystkim pasuje. Politycy nie chcą „dzielić się władzą” z szarymi obywatelami.

Młoda polska demokracja w ostatnich trzydziestu latach rozwinęła się od początku w kierunku parlamentarno-elitarnym. Trzydzieści lat temu każda forma demokracji wydawała się dobrą, byle nie „ludową”. Doświadczenia ostatnich lat pokazały jednak, że polska semidemokracja nie spełnia demokratycznych oczekiwań społeczeństwa polskiego. Demokracja o charakterze komplementarnym, z uwzględnieniem instrumentów oddolnego współrządzenia państwem, jest tak banalna w jej prostocie, że przerasta horyzonty pojmowania politycznej rzeczywistości przez rządzących polityków. ■

POLONIA MA OBOWIĄZEK GŁOSOWAĆ

Polonia nie tylko powinna mieć prawo, ale także obowiązek głosowania w Polskich wyborach i uczestniczenia w życiu publicznym w Polsce.

Piotr Surmaczyński, Londyn



fot. pixabay.com

Czy Polonia ma moralne prawo wybierać prezydenta Rzeczypospolitej Polski skoro nie mieszka w kraju? Od 14 lat żyję poza Polską. Przez cały czas przebywania za granicą zawsze uczestniczę w polskich wyborach organizowanych przez Ambasadę RP w Londynie. Pracuję także jako wolontariusz na rzecz społeczności polskiej na emigracji. Czuję się Brytyjczykiem i Polakiem. Jak to ujęła kiedyś polska pisarka mieszkająca na stałe w Sztokholmie, Katarzyna Tubylewicz „mam rozszerzoną tożsamość”.

Jeśli mieszkasz za granicą, nie obchodzą cię sprawy wewnętrzne Polski i nie bie-

rzesz udziału w wyborach w kraju, to tak naprawdę nie jesteś częścią Polonii. Jesteś emigrantem. Cytując słowa jednego z naszych wieszczów Cypriana Kamila Norwida „ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek”. Zatem jeśli ktoś czuje się Polakiem ma nie tylko prawo, ale przede wszystkim obowiązek uczestniczenia w wyborach.

Bo nie płacą podatków

W nadchodzących, niedemokratycznych i niekonstytucyjnych wyborach prezydenckich zdecydowało się wziąć udział ponad 300 tys. Polaków z całego świata. To nie tylko realizacja konstytucyjnych

praw Polonii ale także obowiązek nas Polaków z zagranicy wobec ojczyzny. Nie ma znaczenia gdzie mieszkamy. Ważne jest tylko to czy kochamy ojczyznę, miejsce skąd pochodzimy.

Niestety często spotykam się w internecie z opinią, że „Polonia nie powinna głosować w polskich wyborach, bo nie mieszka w Polsce i nie płaci w kraju podatków”. Słychać często stwierdzenie: „Nie będą nam meblować domu skoro wyjechali” albo „Nie mają pojęcia co się u nas dzieje więc nie powinni decydować”.

To przewrotne hasła, brzmią pozornie dobrze, ale nie są adekwatne do rzeczy-

wistej sytuacji. W kraju jest wiele grup społecznych, które nie płacą podatków, na przykład osoby niepracujące zawodowo, studenci, część kleru. System podatkowy nie traktuje także wszystkich równo. Na przykład parlamentarzyści, poprzez znacznie wyższą kwotę wolną od opodatkowania, niż zwykli obywatele płacą faktycznie niższe podatki. Istnieje również ogromna „szara strefa” w gospodarce, w której zatrudnieni także unikają płacenia podatków. Łączenie płacenia podatków jedynie z prawem Polonii do głosowania, jest niesprawiedliwe. Zwłaszcza w obliczu faktu, że Polacy żyjący za granicą przesyłają ogromne sumy pieniędzy swoim rodzinom w Polsce i tym przyczyniają się do rozwoju naszego kraju. Rodacy w kraju otrzymują od Polonii rocznie tyle samo pieniędzy ile Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przeznacza na pomoc socjalną w ramach programu 500+. Nietrudno sobie wyobrazić jakby wyglądało życie Polskich rodzin, gdyby nie te pieniądze, które mieszkańcy Polski otrzymują od rodaków z zagranicy.

Bo mieszkają poza Polską

Nie można także przyjąć argumentu, że fakt zamieszkania poza Polską powinien dyskwalifikować Polonię w czynnym prawie wyborczym. Polska w swojej historii miała różne granice. Mój dziadek urodził się na wschodnich kresach II Rzeczypospolitej, na terenach, które obecnie należą do Ukrainy. Ja urodziłem się w mieście, które przed wojną należało do Niemiec. Zatem trudno powiedzieć, że Polska jest tylko miejscem na mapie. Często zdarzało mi się odwiedzać Polaków w różnych zakątkach świata. Nasz naród, jak wszystkie wielkie narody, rozsiany jest po całym globie. Jesteśmy nie tylko imigrantami, ale przede wszystkim kolonizatorami, którzy granice Polskości rozszerzyli po krańce świata.

Gdzieś na zagubionej na Atlantyku Teneiryfie mieszka Anna Skrzypek, Polka z belgijskim paszportem, która cały swój czas poświęca prowadzeniu polskich grup w internecie. Zaangażowanie Ani w sprawy Polskie jest imponujące, mimo że od wielu lat żyje poza krajem promieniuje aurą polskość a sprawy naszej ojczyzny

są dla niej najważniejsze. Jest bezprzekładną patriotką oddaną Polsce o wiele bardziej niż wielu Polaków żyjących w obrębie politycznych granic współczesnej Polski.

Z drugiej strony Atlantyku w Nowym Jorku spotkałem wspaniałych ludzi, którzy swym zaangażowaniem w sprawy Polski po prostu zaimponowali mi i dali bodziec do społecznej pracy na rzecz ojczyzny. Z relacji w TVP można było poznać chociażby Zbigniewa „Ziggi” Sidorskiego, Jacka Dudę, Adama Jakubowskiego, Krystynę Agatę Golonka, Beatę Bojar i Dorotę Mani, którzy uczestniczyli w głośnym protestie przed polskim konsulem na Manhattanie, kiedy Nowy Jork wizytował znany z łamania polskiej konstytucji Andrzej Duda. Na tych ludzi, po wyemitowanym w TVP paszkwilu, wylała się z Polski fala hejtu mimo, że są szanowanymi w swoich środowiskach Amerykanami polskiego pochodzenia i budują nam wszystkim za oceanem bardzo pozytywny wizerunek. Myślicie, że ktoś z nich obraził się na Polskę? Nie, dalej pracują na rzecz demokratycznej ojczyzny, w której od wielu lat już nie mieszkają, ale mają ją w sercu.

Nie mogę nie wspomnieć Polaków z Chicago: mojego przyjaciela Johna Fudalę, Krzysztofa Wawra, Jolantę Kaczmarską, którzy pokazali mi polonijne życie w Chicago uznawanym za „największe polskie miasto”. Artura Marcińskiego i Roberta Krajewskiego - polskie małżeństwo gejów także z „Wietrznego Miasta”, którzy zamiast do Honolulu czy na Galapagos jesienią 2018 roku, w czasie ostatnich wyborów samorządowych, przylecieli do Krakowa „by nie oddać królewskiego grodu pisowcom”. Jak można porównać ich zaangażowanie w sprawy polskie do tych mieszkańców naszego kraju, którym nie chce się nawet wyjść z domu i przejść kilkaset metrów do punktu wyborczego w swoim mieście skoro Artur i Rob spędzili po piętnaście godzin lecąc w każdą stronę, aby oddać głos w wyborach lokalnych w Krakowie.

Muszę także wspomnieć inne znane mi postacie polonijnego życia bez których Polska byłaby mniejsza. Joanna Gos, Małgorzata Hallewell, Michał Reimer

z Londynu, Dominik Cybulski z Norwegii, Barbara Walus z Majorki, Apolonia Skakowska i Katarzyna Kordecka z Wilna, Justyna Cwojdzńska z Limerick w Irlandii i wiele jeszcze innych wspaniałych ludzi z całego świata, których nie wymieniłem a którzy krzewią polskość, naszą kulturę i budują fantastyczny wizerunek kraju na całym świecie.

Bo to nie jest ich dom

Najbardziej jednak irytujący jest ten argument, że Polonia nie ma prawa „urządzać rodakom w kraju ich domu”. Polska jest domem wszystkich Polaków, tych którzy mieszkają za granicą także. My Polacy z różnych krańców świata powinniśmy uczestniczyć w „meblowaniu” naszego wspólnego domu Polski. Nikt nie ma moralnego prawa pozbawiać prawa do Polskości tylko dlatego, że ktoś jest żydem, muzułmaninem, przedstawicielem LGBT, mieszka za granicą lub nie jest katolikiem. Wszędzie tam gdzie mieszka Polonia jest Polska. Mieszkając w Norwegii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Brazylii, USA, Hiszpanii, na Litwie i w we wszystkich innych krajach świata Polonia tworzy wokół siebie polskie kolonie. Zatem nasza ojczyzna jest globalna, bo Polska to nie jest miejsce na mapie tylko miejsce w sercu. ■



fot. pixabay.com

Andrzej Wroński



państw NATO: Belgię, Czechy, Francję, Niemcy, Norwegię, Polskę, Słowację, Słowenię i Węgry? Ma ono zapewnić możliwość tańszego i bardziej efektywnego lotniczego transportu strategicznego tym państwom podczas wspólnie prowadzonych akcji. W dniach 9 i 17 kwietnia w ramach programu SALIS lądowały we Wrocławiu dwa nieco mniejsze samoloty An-24 Ruslan, które przywiozły łącznie ponad 120 ton środków ochrony osobistej i sprzętu do ich produkcji. Czyżby Sztab Generalny WP przy locie An-225 Mrija nie dopełnił tym razem jakichś formalności w Movement Coordination Centre Europe koordynującym loty SALIS? Czy może pełen urzędowego optymizmu Premier chciał osobiście powitać potężnego Antonowa w Warszawie, aby pokazać swoją troskę o zdrowie Polaków i poprawić nadwątlone notowania? Te zaś spadają z uwagi na zarzuty wielu grup społecznych i zawodowych, m.in. lekarzy, nauczycieli, przedsiębiorców.

Problem czwarty

Jak to się dzieje, że spółki z udziałem Skarbu Państwa, świadomie i dobrowolnie włączają się w finansowanie rządowych projektów kryzysowych. „Polska Miedź”, „Orlen” oraz inne płacą za medykamenty z Chin, pokrywając również koszty ich transportu do Polski na zasadach komercyjnych, czyli droższych. Dzisiaj wszyscy musimy być solidarni, ale czy ktokolwiek zapytał o zdanie prywatnych udziałowców tych firm? Przecież oni również mają prawo głosu.

Hucpa z potężnym Antonowem jakoś nie wywołała odpowiedniego i pożądanego efektu społecznego. Niektóre media, a także politycy zaczęli wprost mówić o bezprzykładnej propagandzie na koszt spółek z udziałem Skarbu Państwa. Zaczął to nawet dostrzegać średnio rozgarnięty licealista. Należało więc jakoś załagodzić nieprzyjemną woń, pozostałą po niefortunnym zabiegach.

Propagandowa pompa

Tutaj z pomocą przyszedł Prezydent „Wszystkich” Polaków, nie mniej troszczący się o ich zdrowie. Prawie codzien-

ne uczestnictwo w spotkaniach różnych gremiów (m.in. Rady Gabinetowej, Biura Bezpieczeństwa Narodowego) z premierem i ministrami w różnych kombinacjach osobowych oraz przedstawicielami służb mundurowych, dawały okazję do niezliczonych konferencji prasowych, które miały wykazać, że to właśnie Prezydent monitoruje, instruuje, inicjuje, zaleca i zagania do roboty wszystkich, którzy koronawirusa mają obowiązek zwalczać.

W temat należało jeszcze zaprząć politykę zagraniczną, aby wykazać szczególną pozycję Polski w walce ze światową pandemią. Tutaj z pomocą przyszedł sprawdzony sojusznik Donald Trump, który „poprosił o rozmowę Andrzeja Dudę”. Tak podała Kancelaria Prezydenta RP. Rozmowa odbyła się w dniu 18 kwietnia i dotyczyła m.in. „współpracy w walce z koronawirusem”.

Słabo można wyobrazić sobie Prezydenta USA występującego z taką inicjatywą. Takie wydarzenia z reguły w pełni kontroluje Departament Stanu, a temat zawsze przekazywany jest własnemu ambasadorowi w danym kraju. To z nim omawiane są sugestie tematów czy termin. Ciekaw jestem co miałyby do powiedzenia w tej sprawie pani ambasador Georgette Mosbacher.

Fala kłamstwa

Na jak wielką pomoc mogliby liczyć Amerykanie ze strony polskiej? Gwardia Narodowa wybudowała już w Chicago, w centrum McCormicka, potężny szpital polowy na 3 tys. łóżek, przeznaczony wyłącznie dla pacjentów zakażonych COVID-19. Według informacji, do których dotarł brytyjski „Guardian”, naukowcy pracujący dla US Army stworzyli już test, którym przez badanie krwi będzie można wykryć koronawirusa w ciągu kilku godzin, tj. u chorych, którzy jeszcze nie wykazują objawów choroby. Takich testów można wykonać nawet milion dziennie a pracuje nad nimi Defense Advanced Research Project Agency (DARPA), której celem są działania na wypadek wojny chemicznej.

W wyniku rozmów prezydentów Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa, w dniu 23 kwietnia do Chicago poleciał dziewięćooso-

bowy wojskowy zespół medyczny, który miał przez tydzień „wspierać Amerykanów, a także wymienić doświadczenia”. Jak to z wojskowymi bywa – jest rozkaz jechać – jedziemy.

Pompę propagandową robiono z tego wielką. Bo to i inicjatywa Prezydenta USA (pierwsze), współpraca w obszarze walki z koronawirusem (drugie), no i oczywiście – współpraca strategiczna w obszarze NATO (trzecie). A tak naprawdę to wygląda na umowę strategiczną krogulca z wróbelkiem. Jeżeli krogulec będzie syty, to wróbelk będzie bezpieczny. Może jedynie podkraść karmę dla kur na wolnym wybiegu do czasu, dopóki kogut go nie pogoni.

Jeżeli chcemy zakupić testy, nad którymi pracuje amerykańska DARPA, wcześniej niż wypracują je laboratoria europejskie, to może warto byłoby uczciwie obywatelom Rzeczypospolitej to powiedzieć. Bo trudno oprzeć się wrażeniu, że polska wojskowa misja medyczna była czymś więcej niż nawiązaniem bezpośredniego kontaktu między producentem i ewentualnym odbiorcą. Należy zauważyć, że DARPA pracuje na rzecz armii amerykańskiej i jej przedstawicielom łatwiej dogadać się z oficerami-lekarzami armii państw członkowskich NATO, niż z jakąkolwiek „cywilbandą” niewiadomego pochodzenia.

To są sprawy tak proste, jak konstrukcja cepa i prominentni przedstawiciele Kancelarii Prezydenta RP powinni o tym wiedzieć, a nie wtykać uczciwemu obywatelowi absolutne brednie o strategicznej współpracy. Kiedyś znany polski pisarz, Bolesław Prus popełnił był nowelę „Powracająca fala”. W skrócie: Siedzą sobie pastor z fabrykantem na brzegu sadzawki. Pastor bierze kamień i wrzuca do jej środka. Fale rozchodzą się centro-bieżnie, ale niektóre, odbite od brzegu, wracają do środka. Chodziło o „falę krzywdy” wobec robotników ze strony fabrykanta, który w rezultacie swej chciwości stracił jedynego syna i spadkobiercę, zastrzelonego w pojedynku. Dzisiaj musimy mierzyć się z „falą kłamstwa” w naszej wewnętrznej i zagranicznej polityce, z potężnym atakiem hejtu na ludzi rzetelnych, normalnych i uczciwych. Kiedyś ta „fala kłamstwa” odbija się od społecznego brzegu. ■

KRÓLESTWO NA „STANDBAJU”

Rok 2020 będzie zapamiętany w Wielkiej Brytanii jako rok mycia rąk i zamkniętych pubów – tak zabawnie puentują obecną sytuację Brytyjczycy.

Magda Lefier



fot. pixabay.com

Rok koronawirusa będzie z pewnością omawiany na brytyjskich lekcjach historii, bo nie odbędzie się Chelsea Flower Show, Wimbledon i wiele innych znanych z wielowiekowej tradycji imprez, których ciągłość była przerwana tylko przez dwie wojny światowe w XX wieku. Wejdzie on również na stałe do przyszłych podręczników ekonomii z uwagi na pomoc, jaką rząd konser-

watystów skierował do pracodawców i właścicieli firm, aby zapobiec bezrobociu i utrzymać jak najwięcej miejsc pracy. Taka interwencja finansowa na niespotykaną skalę, a mówi się o kosztach Covid-19 w wysokości 337 miliardów funtów szterlingów, ma miejsce pierwszy raz w historii Wielkiej Brytanii. Znani z flegmatycznych poczynań Anglicy tym razem zadziałali w błyskawicznym tempie, bez zbędnych dyskusji i awantur po-

litycznych ze strony opozycji. O wszystkie formy pomocy można starać się online, co przyspiesza znacznie rozpatrywanie wniosków i uzyskanie środków finansowych.

Polityka interwencjonizmu państwowego, charakterystyczna m.in. dla lat 30-tych XX wieku oraz gospodarki krajów komunistycznych jest wysoce kontrowersyjna, a jej skutki bywają różne. Na efekty jej

trzeba będzie poczekać, ale jeżeli rząd Borisa Johnsona odniesie sukces, niewątpliwie zapewni konserwatystom kolejne lata sprawowania rządów.

Urlop pracowniczy

W Wielkiej Brytanii wprowadzono zaczerpnięty od Amerykanów program „furlough” czyli urlop pracowniczy, dla tych osób, które w obecnej chwili nie mają pracy. Rząd opłaca 80 proc. pensji pracowników wraz ze wszystkimi kosztami, maksymalnie do wysokości 2.5 tys. funtów. Początkowo program ten obowiązywał do końca czerwca, ale obecnie przedłużony został do 31 października 2020 roku. Warunkiem otrzymania finansowania jest zakaz świadczenia pracy przez pracownika na rzecz pracodawcy. Zagwarantowano jednak możliwość świadczenia pracy dla innego pracodawcy.

Rishi Sunak - „kanclerz skarbu” czyli odpowiednik polskiego ministra finansów, zapowiedział ostatnio, że będzie oczekiwał od pracodawców korzystających z programu poniesienia części kosztów od sierpnia, zwiększając ten udział pro-

porcjonalnie w kolejnych miesiącach. Po ostatnich deklaracjach British Airways o przyszłych zwolnieniach pracowniczych, należy spodziewać się, że rząd wprowadzi konieczność zwrotu części wypłacanych środków, jeżeli przedsiębiorca nie utrzyma miejsc pracy.

Istnieje też druga strona tej pomocy jaką jest skala oszustw dokonywanych przez przedsiębiorców. HMRC (Her Majesty's Revenue and Customs – Urząd skarbowy Wielkiej Brytanii) otrzymało do dnia 20 maja około 800 donosów na pracodawców, którzy wykorzystują dofinansowanie, zmuszając jednocześnie pracowników do świadczenia pracy.

Odciążenie z podatków

W Wielkiej Brytanii zaproponowano jeszcze wiele innych możliwości pomocy przedsiębiorcom. Właściciele lokali użytkowych mogą ubiegać się o ulgę w podatku od nieruchomości, odroczone zostały płatności VAT i podatków z działalności gospodarczej do dnia 31 marca 2021 roku. Rząd zwraca pracodawcom koszty poniesione na chorobowe zwolnienia pracow-

ników, tzw. „sick pay” z tytułu Covid-19, bez konieczności przedłożenia zwolnienia lekarskiego. Małe przedsiębiorstwa działające w lokalach użytkowych mogą starać się o tzw. granty do wysokości 10 tys. funtów, a jeśli im to nie przysługuje - o tzw. granty uznaniowe do wysokości 25 tys. funtów. Samozatrudnieni mogą wystąpić o bezzwrotną pomoc w wysokości 80 proc. średniego miesięcznego zysku, maksymalnie do wysokości 7 tys. funtów.

Wsparcie finansowe

Duże firmy mają do wyboru wachlarz pożyczek gwarantowanych przez rząd w wysokości od 80 do 100 proc. kredytu bez kosztów i odsetek przez pierwsze 12 miesięcy oraz fundusze na innowacje przedsiębiorstw, które mają problemy związane z Covid-19, do wysokości 5 mln funtów.

Państwo nie pozostawiło też bez pomocy pracowników, których pracodawca wysłał na urlop i którym zmniejszono pensje. Mogą oni skorzystać z tzw. „universal credit” czyli zasiłku. ■



fol. pixabay.com



Dr Dariusz Maciej Grabowski

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE ... TRACĄ

Kryzys gospodarczy niszczy powiązania i reguły gry na rynkach produktów, usług i finansów. Demoluje ekonomikę pracy i generuje bezrobocie. Niszczy to, co kreuje wynalazki, niesie postęp, podnosi wydajność pracy. Pożera oszczędności obywateli, przedsiębiorstw, samorządów i państwa.



fot. pixabay.com

Jak kryzys gospodarczy oddziałuje na oszczędności ludzi? To ważny, choć przemilczany temat. Oszczędności są przejadane, gdy tracimy pracę, bądź nasze dochody maleją. Zmniejszają się też skutek inflacji, jeśli utrzymuje się ona na wysokim poziomie.

Szczególną formą niszczenia oszczędności jest polityka drukowania pieniędzy przez państwo. Fakt ten podważa motywację do oszczędzania. Skoro można bez trudu otrzymać „kasę” od rządzących, to po co oszczędzać? Rozumiem tymczasową konieczność i nieuchronność druku pieniądza, ale tym bardziej potrzebne są działania naprawcze, łagodzące negatywne skutki emisji „pustego pieniądza”.

Rząd i NBP wyznaczyły sobie proste, wręcz podręcznikowe cele: ożywienie popytu, obniżenie inflacji, złagodzenie obciążeń kredytobiorców, stworzenie zachęt do zaciągania kredytów. Służyć temu ma dokonana przez NBP obniżka stopy procentowej praktycznie do zera. Pomimo tego zamierzenia rządzących i NBP pozostaną na papierze, a wyrok na oszczędnościach obywateli i firm zostanie wykonany.

Czy niska stopa procentowa zachęci do zaciągania kredytów?

Już dziś banki i KNF podjęły decyzję o radykalnym zaostreniu zasad udzielania kredytów. Wymagany wkład własny został zwielokrotniony, a zabezpieczenia w postaci ubezpieczeń, poręczeń, opłat

stały się obligatoryjne. Znacznie podwyższone zostało realne oprocentowanie kredytów i ograniczona dostępność do nich. To banki w myśl zasad maksymalizacji bezpieczeństwa bądź minimalizacji ryzyka podejmą działania utrudniające, a nawet uniemożliwiające uzyskanie kredytu przez firmy i obywateli. Działanie NBP polegające na obniżeniu stopy procentowej prawie do zera nie zostanie nawet zauważone przez potencjalnych kredytobiorców.

Analitycy bankowi szacują, że łączny zysk netto sektora spadnie w 2020 roku o 14-15 mld złotych. Tak być nie musi i nie powinno. Jednak banki w Polsce, szczególnie te z udziałem Skarbu Państwa, stały się „prztyłkiem i przechowalnią” protegowanych politycznych rządzącej partii i wyrzekły się działań mających na celu obniżenie kosztów działalności. Banki stały się miejscem otrzymywania synekur i wygodnych posad, oczywiście na koszt firm i obywateli mających w nich depozyty i kredyty.

Czy niższa stopa procentowa obniży inflację?

Czynniki, które dziś i na wiele miesięcy w przyszłości będą wyznaczać poziom inflacji to: wzrost cen energii, ceny żywności kształtowane przez poziom kosztów pracy w rolnictwie (czytaj: albo wrócą Ukraińcy i będzie taniej, albo

jeśli nie wróćą będzie drożej), cena ropy naftowej (dziś jest ona skrajnie tania i należy liczyć się ze wzrostem), wielkość realnych dochodów polskich firm i pracowników przy jednoczesnym spadku zatrudnienia i zmniejszeniu wpływów z eksportu.

Skala obniżki stopy procentowej przez NBP i wynikająca stąd siła oddziaływania na przedsiębiorców oraz konsumentów nie będą miały wpływu na poziom inflacji. Przeciwnie - zerowa stopa procentowa powodując ucieczkę od złotówki może spowodować wzrost cen dóbr, które zostaną potraktowane jako bezpieczna lokata w niepewnych czasach (działki pracownicze, nieruchomości, antyki, dzieła sztuki).

Czy niższa stopa procentowa NBP „nakręci” popyt?

Takie kalkulacje i rachuby uważam za naiwne. Zachowanie, o którym marzy NBP, teoretycznie polega na wzroście zainteresowania kredytem konsumpcyjnym (bo tani) oraz na wymuszeniu na tych, którzy dysponują dochodami i oszczędnościami, wydatkowania pieniędzy na dobra trwałego użytku i towary luksusowe. Chodzi o to, by wydawać już dziś, bo jutro może okazać się, że nieruchomości podrożeją, a inflacja uniemożliwi zakup. Pobudzenie popytu na kredyt nie nastąpi w sytuacji rosnącego bezrobocia i spadku dochodów pracodawców, zwłaszcza w sytuacji niepewności, obaw i strachu.

Należy liczyć się ze znacznymi zmianami w zachowaniach i kalkulacjach konsumentów, którzy ograniczą swoje wydatki. Będą analizowali, co zrobić z ewentualnie zaoszczędzonymi pieniędzmi. Już dziś wielu z nich zadaje sobie pytanie czy nie należy dla bezpieczeństwa wymienić złotówki na dewizy.

Gdzie tkwi błąd strategii rządu i NBP?

Drukowanie pieniędzy i zasilanie nimi banków, a dopiero za ich pośrednictwem przedsiębiorstw i obywateli oznacza, że znaczna część środków zamiast trafić na rynek ugrzęźnie w systemie. Banki pieniądze przetrzymają, niektóre wy-

transferują zagranicę, bądź ulokują w obligacjach zamiast kredytować na preferencyjnych warunkach przedsiębiorstwa i obywateli. Beneficjentem będą banki, a dopiero potem wybrane firmy i Polacy. Moim zdaniem drukowane złotówki powinny trafiać bezpośrednio pod „właściwe adresy” czyli do tych, którzy walczą o przetrwanie – jak ma to miejsce w Niemczech.

Polityka wypychania oszczędności na rynek przy zerowej stopie procentowej, wysokiej inflacji i podatku Belki od dochodów z oszczędności, doprowadzi do wzrostu popytu na dewizy oraz lokowania pieniędzy w nieruchomościach. Oznaczać to będzie często bezpowrotne zamrożenie środków zamiast uczynienia z nich funduszu, który powinien zostać zamieniony w tak potrzebny kapitał inwestycyjny.

NBP bierze przykład z amerykańskiego FED-u, który drukuje dolary i obniża stopę procentową. Na czym polega różnica? Dolar jest walutą światową. W dobie kryzysu popyt na światowe dolary rośnie. Banki nie zamrażają środków, a przeciwnie – wspierają inwestowanie. Przykładem jest giełda amerykańska i jej systematyczny wzrost wskaźników. W Polsce ten, kto ma złotówki – a mają je banki i „wybrani” – wie, że powinien szukać bezpieczniejszej formy przechowania wartości. Stąd ucieczka od złotówki w dewizy bądź lokowanie tzw. nadpłynności przez banki w NBP. O prawdziwych inwestycjach mało kto myśli. Warszawska giełda od ponad 10 lat straszy i rozśmiesza poziomem obrotów i wskaźników. Nikt nie ponosił za to odpowiedzialności i nie został rozliczony.

Druk pieniądza i zerowa stopa procentowa wpływa demoralizująco na świadomość obywateli. Oni zaczynają wierzyć, że drukowanie „należy się”. Nie warto oszczędzać, inwestować, pracować i kreować. Można tylko konsumować.

Jak uratować nasze oszczędności i okiełznać kryzys?

Ponad 60 proc. gospodarstw domowych na początku 2020 roku miało oszczędno-

ści, a 75 proc. ludzi młodych do 35 roku życia ze średnim i wyższym wykształceniem ma je nadal. Oni racjonalnie myślą o przyszłości i nie wolno ograbić ich z tych pieniędzy.

Jestem zwolennikiem emisji przez NBP lub BGK obligacji narodowych przeznaczonych dla obywateli, które powinny być oprocentowane na poziomie 3-5 proc. powyżej inflacji. Taka emisja dałaby rządowi środki na walkę z bezrobociem, a jednocześnie pozwoliłaby Polakom lokować oszczędności bez obawy i strachu przed utratą pieniędzy.

Opowiadam się za dodatknią stopą procentową, która przywróciłaby sens lokowania pieniędzy w bankach, a jednocześnie spowolniła inflację i przyciągnęła kapitał zagraniczny. Jednocześnie należy natychmiast zlikwidować tzw. podatek Belki nałożony na oszczędności, gdyż karze tych, którzy dobrze gospodarują.

Rząd powinien ogłosić program inwestycji narodowych, pod które wyemitowane zostaną akcje dostępne dla obywateli. Umożliwiłoby to finansowanie tych inwestycji bez druku pieniędzy, a jednocześnie pozwoliłoby Polakom stać się inwestorami i współwłaścicielami majątku narodowego, z którego czerpaliby dochody przez lata. Takie działania powinny być wstępem do długookresowej strategii wspierania dochodów obywateli i powiększania zgromadzonych przez nich oszczędności. Możliwe to będzie do zrealizowania poprzez:

- wprowadzenie wysokiej kwoty wolnej od podatku dochodowego (około 50 tys. zł rocznie);
- systematyczne obniżanie stawki VAT na podstawowe dobra konsumpcyjne oraz stawki zerowej na materiały budowlane i budownictwo mieszkaniowe;
- przywrócenie firmom i bankom państwowym ich właściwej roli ekonomicznej poprzez „pozbycie się spadów politycznych” tak, by emitowane przez nie papiery wartościowe stały się atrakcyjną lokatą oszczędnościową dla obywateli i przedsiębiorstw. ■

MUSIMY OSZCZĘDZAĆ BEZ WZGLĘDU NA KOSZTY

Uchwalane na przełomie roku budżety samorządów zawaliły się pod wpływem epidemii koronawirusa. Jednym z obszarów, na którym miasta i gminy chcą uzyskać oszczędności, jest oświetlenie uliczne.

Włodzimierz Witakowski



fot. pixabay.com

J Wyłączanie oświetlenia ulic w porze nocnej wprowadza Kraków, Kielce, Tarnów, Złotoryja, Suwałki, Ustka, Olecko, Sandomierz i in. Tego typu posunięć nie przewiduje Warszawa, która szuka oszczędności poprzez modernizację oświetlenia i wymienia lampy na LED-owe, o wyższej skuteczności świetlnej.

Déjà vu

Tego typu „oszczędności” próbowano już robić w drugiej połowie lat 70-tych ubiegłego wieku, kiedy okazało się, że nie da się „przeżyć za pożyczkę”, a zaciągnięte kredyty trzeba spłacać. Nastąpił więc w Polsce okres oszczędzania na wszystkim, bez względu na to czy było to racjonalne, czy też nie.

Rozwojowi gospodarki nie towarzyszył rozwój sektora energetycznego. Istniały „stopnie zasilania” od 1 do 20, przy których wyłączano dostawę energii do odbiorców, począwszy od energochłonnych zakładów przemysłowych, aż po całe dzielnice mieszkaniowe. Ówczesny premier Piotr Jaroszewicz podjął decyzję o częściowym wyłączaniu oświetlenia publicznego, w tym oświetlenia dróg i ulic w porze nocnej. Decyzja ta okazała się na tyle niefortunna, że wkrótce wycofał się z niej.

Kosztowne oszczędności

W 1976 roku osiągnięto oszczędności wynoszące ok. 230–240 mln kWh, o wartości ok. 70 mln zł (ówczesnych). Nie zostały jednak uzyskane „za darmo”. Po stronie kosztów pojawiły się ne-

gatywne skutki. Wzrosła liczba wypadków drogowych, a w konsekwencji było więcej ofiar i strat materialnych. Jednocześnie kierujący pojazdami musieli zmniejszać prędkość, co zwiększyło czas przejazdów, zużycie paliwa i obniżyło efektywność wykorzystania środków transportu. Ciemne ulice nie były też przyjazne dla obywateli. Ich poczucie bezpieczeństwa i wygoda zmalały, a estetyka miast i osiedli uległa pogorszeniu.

Analiza skutków

W roku 1977 dokonałem analizy wpływu wyłączania oświetlenia publicznego na liczbę i skutki wypadków drogowych. Zbadałem 2346 wypadków drogowych, które wydarzyły się na terenie Warszawy i województwa warszawskiego w dwu podobnych okresach: wrzesień – grudzień lat 1975 i 1976. Analiza wykazała istotny wzrost liczby wypadków w porze nocnej w roku 1976, w porównaniu do liczby wypadków w porze dziennej, a także wzrost liczby ofiar tych wypadków – zabitych oraz ciężko i lekko rannych.

W 1976 roku, w wyniku wyłączania oświetlenia dróg i ulic na terenie Warszawy i województwa Warszawskiego, dodatkowe straty związane z wypadkami drogowymi wyniosły 97 mln zł. W tej liczbie 72 mln zł stanowiły straty materialne (zmniejszenie produkcji, koszty leczenia i rehabilitacji ofiar oraz napraw pojazdów), zaś 25 mln zł straty niematerialne (wartość życia ofiar i in.). W skali całego kraju koszty te były 12 razy większe i wyniosły ok. 1.200 mln zł, z czego ok. 900 mln stanowiły straty materialne.

Strata energii

W wyniku zwiększenia liczby wypadków drogowych i ofiar tych wypadków, poniesione straty były siedemnastokrotnie większe niż uzyskane oszczędności. Doszły też straty energii i paliw zużywanych w procesie leczenia ofiar wypadków samochodowych, produkcji nowych pojazdów zastępujących zniszczone i napraw uszkodzonych. Były one półtorakrotnie większe niż uzyskane oszczędności energii. Dzisiaj proporcje między ceną energii, a elementami kosztów są inne niż w czasach PRL-u. Wartość utraconej pracy, leczenia i rehabilitacji, oraz napraw uszkodzonych pojazdów jest wyższa niż koszty wytworzenia energii w porze nocnej.

W obecnie strukturze jeden uzyskuje oszczędności, a drugi ponosi koszty. Jednak w przypadku złych decyzji, jako członkowie lokalnych społeczności tracimy wszyscy. ■

2G-DWA WYIMAGINOWANE GIGANTY INWESTYCYJNE

Czy wielkie inwestycje z tzw. „Planu Duda” – Centralny Port Komunikacyjny i przekop Mierzei Wiślanej wniosą coś pozytywnego, czy są przejawem gigantomanii i mogą zaszkodzić naszej gospodarce?

Artur Kołosowski, Marek Sarjusz-Wolski



Baranów, fot. Artur Kołosowski

Lotnisko w Baranowie to tylko jeden z trzech elementów Centralnego Portu Komunikacyjnego. Obecny prezydent Andrzej Duda nie zdradza, że w planach jest zbudowanie jeszcze trzech hubów. Oprócz lotniska planowany jest Centralny Hub Logistyczny, jako olbrzymie centrum przeładunkowe poczty oraz Centrum Targowo-Wystawienniczo-Kongresowe. Można to porównać do budowy całego miasta.

Projekt trwa trzy lata i zatrzymał się na etapie kwiecistych przemów. Mimo to wy-

drenował budżet państwa na 310 mln zł. To nie koniec, potrzebne są coraz większe nakłady, ale nie na budowę, tylko na płać dla rozrastającego się zarządu spółki CPK. Im bliżej wyborów, tym głośniejsze o tym projekcie, później prawdopodobnie znów zapadnie cisza. Ośrodek Kontroli Ruchu Lotniczego w pobliżu lotniska Poznań-Ławica został okrzyknięty pierwszą inwestycją w infrastrukturę na potrzeby CPK. Brzmi dumnie, ale tak naprawdę to budynek kontroli zbliżania dla lotniska w Poznaniu. Tam można by przenieść służbę kontroli ruchu lotniczego, gdyby zarządzono ewakuację Warszawy. Pro-

jekt powstał przed dojściem PiS do władzy, niezależnie od CPK i będzie gotowy za 2 lata.

Spotkania z mieszkańcami terenu, na którym powstaje CPK są dowodem na to, że narracja budowana jest ad hoc. Od trzech lat ludzie żyją w niepewności, zadają pytania, ale na żadne nie dostają odpowiedzi. Nieznany jest obszar inwestycji, nie sporządzono planów, ani lokalizacji wioski zastępczej dla wysiedlanych osób, brak listy nieruchomości zamieszkałych, decyzji środowiskowej i źródła pieniędzy na inwestycję (optymistycznie

założono 25 mld zł, a aktualnie mówi się już o 100 mld zł). Władze nie przejęły się negatywnymi dla lotniska wynikami referendum gminnego w Baranowie w 2018 roku i uchwałami trzech gmin: Baranów, Teresin i Wiskitki oraz 13 sołectw. Mieszkańcy najbardziej boją się scenariusza ostrołęckiego, czyli tego, że inwestycja zostanie rozgrzebana, a oni będą mieszkać na placu budowy.

„Szprychy” do lotniska

Prezydent Andrzej Duda zapowiedział rychłą budowę nowej linii kolejowej Warszawa-Baranów-Lódź. To jedna z dzieśięciu kolejowych „szprych” do lotniska. Jednak w planie budowy linii kolejowych do 2034 roku, jeszcze żadnej nie umieszczono. CPK zapowiedział dopiero przyrodniczą inwentaryzację terenu. Nie zapewniono też źródeł finansowania. Pierwotnie zapowiadano ok. 800 km torów do lotniska. Prezydent Andrzej Duda na początku czerwca 2020 roku obiecał „prawie 1800 km”. To kolejna nierealna rzecz, podobnie jak „wbicie pierwszej łopaty w 2020 roku”. CPK wciąż nie ma podstawowego dokumentu, jakim jest wieloletni plan finansowy.

„Szprychy” nie będą istniały bez warszawskiej osi, a tymczasem spółka PKP PLK realizuje wiele innych opóźnionych projektów. Przebudowę linii średnicowej szykuje od kilkunastu lat, a obecny termin zakończenia to 2027 rok, kiedy to z Portu Solidarności Baranów mają wystartować pierwsze samoloty. Kolejne dwa lata ma zająć montaż systemów kontroli prędkości. Zakończenie chociażby tej inwestycji w zapowiadany termin uruchomienia CPK jest nierealne. Bez radykalnej zmiany modelu zarządzania nie da się zbudować nawet stacji Warszawa Główna, która miała przejąć część ruchu z zamkniętej linii średnicowej. Chodzi o tylko dwa perony z dojazdami, jak widać niemożliwe do zbudowania przez obecnie rządzących. Umowa przewidywała zakończenie prac jesienią 2019 roku, ale kolejna zapowiedź to 2021 rok.

W czerwcu 2020 roku spółka CPK zapowiedziała raport z konsultacji w sprawie przebiegu torów i dróg do lotniska. Nie

ma jeszcze raportu, ale w kraju już wybuchły protesty przeciw propozycjom przebiegu „szprych”. Tymczasem nie oszacowano nawet zainteresowania potencjalnych pasażerów. Władze Portu Solidarności Baranów przekonują, że mieszkańcy mniejszych miast (Lębork, Giżycko, Jastrzębie-Zdrój, Sanok, Krosno) będą masowo korzystać z nowych połączeń, choć nieznana jest ich częstotliwość i ceny biletów. Całkiem realnym scenariuszem jest to, że drogie pociągi będą woziły głównie powietrze, bo pasażerów nie będzie stać na bilety. Warto też zwrócić uwagę na to, że PKP i CPK konkurują o te same pieniądze. Budowę 1800 kilometrów „szprych” miała by sfinansować Unia Europejska. Czy europejskie fundusze na modernizację i budowę infrastruktury transportowej na lata 2021–2027 zostaną w całości zabrane PKP PLK, która zaplanowała pełne ich wykorzystanie na modernizację sieci kolejowej?

Hyperloop, czyli władza na orbicie

Nie ma decyzji o rodzaju pociągów, ich prędkości czy zasilaniu energią. PKP Intercity uważa, że inwestycja przekracza możliwości finansowe polskich kolei, a kierownictwo Portu Solidarności Baranów rozważa budowę nowego systemu transportowego Hyperloop. Czy ktokolwiek przyleci na to lotnisko? Czy pasażerów nie dotknie kryzys lotniczy? PiS nie przejmuje się kryzysem w lotnictwie, bankructwami przewoźników i tarapatami finansowymi PLL LOT, dla których ma powstać nowe lotnisko. Europa ma pod dostatkiem hubów i może się zdarzyć, że Polacy polecą z Berlina, a nie z Baranowa.

Prezydent Andrzej Duda twierdzi, że „To będzie największy hub komunikacyjny w regionie”. Nieprawda. Jesienią tego roku, 70 kilometrów od polskiej granicy, Niemcy otworzą po 14 latach budowy Flughafen Berlin Brandenburg, którego głównym operatorem będzie Lufthansa. Port lotniczy będzie wyposażony w pięć terminali, a większość Polaków będzie miała do niego doskonały dojazd. Nie ma więc jakiegokolwiek uzasadnienia ekonomicznego dla budowy CPK. Tym bardziej,

że wielkie lotniska (huby) świecą pustkami. Rejsy międzykontynentalne nie wrócą już nigdy do poprzedniego poziomu, a najlepiej poradzą sobie elastyczne i tanie lotniska regionalne.

Inwestycja widmo

CPK, czyli Port Solidarności Baranów nigdy nie powstanie, gdyż w istocie nikt go nie chce budować. Projekt CPK przypomina wydmuszkę. Po trzech latach nic nie ruszyło z miejsca. Służy tylko za propagandowe lewarowanie kłamstw o przeobrażeniu gospodarczym kraju oraz tworzeniu „nowej klasy średniej”, która dostaje 30 tysięcy złotych miesięcznie. Wypełnia tę samą funkcję co promy, milion elektryków/??/, Luxtorpeda, elektrownia w Ostrołęce i zapory na Wiśle.

CPK nikomu nie jest potrzebny. Europejskie modele rozwojowe głównego lotniska krajowego zawsze łączyły jego istnienie z narodowym przewoźnikiem. Obie organizacje – państwo i przewoźnik, wspierały się wzajemnie, zyskując przewagę nad konkurencją. Tymczasem PLL LOT, jako gospodarz CPK, szykowane są przez rząd do upadłości i przejęcia aktywów przez nową firmę, którą już zarejestrowano pod nazwą LOT Polish Airlines. Jednak ta nowa spółka też nie poradzi sobie bez państwowego wsparcia.

Nie ma pieniędzy na budowę CPK, bo na tym interesie nie można zarobić. Ruch lotniczy nie wróci do poziomu sprzed epidemii. Przetrwają najsilniejsi, ale tylko dzięki rządowym dotacjom. Przewoźnicy redukują zatrudnienie, restrukturyzują firmy, renegegują warunki leasingu samolotów i opłaty lotniskowe, sprzedają maszyny i nieruchomości. Nie ma decyzji o ostatecznej lokalizacji. Budowa miała ruszyć w 2020 roku, ale termin przesunięto na rok 2023 nie zmieniając jednocześnie daty otwarcia. Obowiązuje nadal 2027 rok.

Jaki zatem PiS ma z tego pożytek? Czy ma to być uzasadnieniem dla blokowania rozwoju lotniska w Modlinie, który nie należy do partii? Gdyby Sejmik Mazowiecki sprzedał Modlin, to Port Solidarności Baranów natychmiast spadłby z agendy?

Gigant drugi - Przekop Mierzei Wiślanej

Kolejna inwestycja PiS - Zalew Wiślany i przekop Mierzei Wiślanej. Według profesora Włodzimierza Rydzkowskiego z Uniwersytetu Gdańskiego czas zwrotu tej inwestycji wyniesie tysiąc lat!

Kanał bez statków

Zalew Wiślany nie ma żadnego znaczenia gospodarczego. Kanał ma służyć statkom o zanurzeniu do 4 metrów i długości 100 metrów, a takich statków już nie ma na Bałtyku! Pływają jeszcze po Renie i w Kanale La Manche. To małe jednostki przewożące kontenery z portów feederyowych (uzupełniających) do wielkich terminali oceanicznych. Kontenerów podróżujących samochodami lub koleją z południa Europy do polskich portów morskich żaden spedytor nie rozładuje w Elblągu, by spławić je do Gdańska. Po co, skoro są wygodne tory kolejowe, autostrada i drogi szybkiego ruchu?

Konieczność bezustannego pogłębiania toru wodnego od wyjścia z Elbląga aż do kanału tak podniesie koszty operacyjne, że podatnicy będą musieli dopłacać, jak do kopalni. Nie ma ładunków, które można byłoby przewozić przez Elbląg w kierunkach innych niż do Kaliningradu. Jedyne sensem aktywizowania portu w Elblągu jest bowiem wymiana

handlowa z Obwodem Kaliningradzkim. Nie wymaga to jednak żadnych inwestycji, a jedynie decyzji politycznych.

Bez militarnego znaczenia

Na akwenie o głębokości 2 metrów nie może operować żaden okręt Marynarki Wojennej. Wojsko Polskie, Marynarka Wojenna oraz NATO nigdy nie postulowały przekopania Mierzei Wiślanej. Dlatego w Braniewie i Elblągu, a także w północnej Warmii (Bartoszyce, Gołdap, Giżycko, Orzysz, Węgorzewo) bazują jednostki zmechanizowane, pancerne i artyleryjskie.

Żaden sojuszniczy okręt nie zbliżył się nawet do Zatoki Gdańskiej, bo zostałyby natychmiast ostrzelane przez rakietowe systemy artyleryjskie rozmieszczone w Obwodzie Kaliningradzkim.

Natura 2000

Budując kanał na obszarze Natura 2000, Polska łamie przepisy UE. Falochrony osłonowe od Zatoki Gdańskiej zablokują prądy zasilające Mierzeję Wiślaną w piasek. Grożą nam kary, jakie może nałożyć na nasz kraj Unia Europejska i konflikt z Rosją. To morza tworzą półwyspy z łańcuchów wysp. 200 lat temu nie było półwyspu Westerplatte tylko wyspy West Platte i Ost Platte. Połą-

czył je prąd zatokowy. Półwysp helski został usypany w XVII wieku przez prąd morski płynący z zachodu wzdłuż wybrzeża. Od otwarcia w 1938 roku portu rybackiego we Władysławowie, piasek zatrzymywany jest na jego pirsach a w ratowanie Mierzei Helskiej inwestujemy ogromne sumy. Taki sam los czeka Mierzeję Wiślaną na odcinku od kanału do jej końca, leżącego w granicach Federacji Rosyjskiej.

Historyczne miejsce

Zalew Wiślany jest ogromnym cmentarzyskiem, na którym spoczywać może nawet 100 tys. niemieckich obywateli. Jego naruszenie grozi ostrym konfliktem niemiecko-polskim. Zimą 1945 roku, po skutym lodem Zalewie Wiślanym, uciekali na Mierzeję Wiślaną mieszkańcy Prus Wschodnich. Oprócz niemieckiej 4 Armii Polowej również cywile: starcy, kobiety i dzieci, a także polscy robotnicy przymusowi oraz francuscy i brytyjscy jeńcy wojenni. Bezustannie atakowały ich sowieckie samoloty szturmowe i artyleria. Łód pękał. Z życiem udało się ująć 450 tysiącom. Ilu spoczęło na dnie? Jediną wskazówką jest bilans operacji wschodniopruskiej III Frontu Białoruskiego. Z 2 mln 400 tys. mieszkańców Prus Wschodnich nie przeżyło 300 tys. Być może Zalew Wiślany jest cmentarzem co najmniej 100 tys. z nich. ■



Zalew Wiślany luty 1945, fot. autor nieznany

KRÓTKA HISTORIA PRYWATYZACJI

W końcu 2019 r. obchodziliśmy trzydziestą rocznicę przyjęcia Planu Balcerowicza. Jednym z jego elementów była prywatyzacja. Państwo nie było w stanie być właścicielem przedsiębiorstw. Było bankrutem wyprzedającym zakłady lub doprowadzającym je do upadku.

Adw. Andrzej Zaleski



fot. pixabay.com

Leszek Balcerowicz, opracowując w 1989 r. plan ratowania gospodarki i finansów Polski, zderzył się z gospodarką socjalistyczną. Państwo było niemal wyłącznym właścicielem wszelkich dóbr materialnych, a poszczególne jednostki produkcyjne lub usługowe jedynie zarządzały powierzonym im mieniem. W planie centralnym określano, co ma być produkowane i komu to dostarczyć. Pieniądz był zbędny, a według teoretyków bolszewickich stanowił on wymysł burżuazji niepotrzebny w nowym ustroju.

Gospodarka nie była w stanie tak funkcjonować. Powrócono do pieniądza, ale nie jako miernika wartości, lecz środka

płatniczego nie oddającego rzeczywistej wartości produktów czy usług, przy czym cena była określona przez Centralnego Planistę. Przedsiębiorstwa nie wiedziały, jaka jest rzeczywista wartość ich majątku i wytwarzanych przez nie produktów. Plan centralny nie uwzględniał na ogół środków niezbędnych do modernizacji zakładów, a zwłaszcza parku maszynowego.

Zakłady Przemysłu Motoryzacyjnego

W styczniu 1990 r. w skład przemysłu motoryzacyjnego wchodziły: Fabryka Samochodów Małolitrażowych (FSM) w Bielsku Białej i Tychach, Fabryka Samochodów Osobowych (FSO) w Warszawie, Fabryka Samochodów Ciężarowych

„Star” w Starachowicach, Jelczańskie Zakłady Samochodowe „Jelcz”, Sanocka Fabryka Autobusów „Autosan” i Zakłady Przemysłu Ciągnikowego „Ursus” w Ursusie. Najbardziej wartościowa była FSM w Bielsku Białej i Tychach, posiadająca dobrej jakości produkt i wyposażona w nowoczesny park maszynowy. Kiedy 90 proc. akcji fabryki przejął licencjodawca produktu – Fiat Auto, na bazie zakładów powstało FCA Poland SA (FCA – Fiat Chrysler Automobiles), które nadal istnieje. Szczyt świetności FSM przeżywała w 2009 r. kiedy wyprodukowała około 606 tys. samochodów. Była największą fabryką Fiata w Europie, a wartość sprzedaży przekraczała 14 mld zł w ciągu roku.

FSO w Warszawie miała trudną i prawie zakończoną sukcesem drogę. Podejmowano próby jej reanimacji, ale brak produktu, parku maszynowego i możliwości wytwarzania wartościowego samochodu powodowały trudności w pozyskaniu inwestora. W 1995 r. pakiet kontrolny w FSO został zakupiony przez koreański koncern Daewoo. Nowy udziałowiec zmodernizował fabrykę i rozpoczął produkcję modeli Tico, Lanos, Matiz i Nubira. Tutaj montowane były modele Espero i Leganza. Po bankructwie Daewoo spowodowanym przeinwestowaniem, zakłady koreańskie przejął Chevrolet (General Motors). Pakiet kontrolny FSO nabył Ukraiński AvtoZAZ produkujący Lanosa, oraz model Aveo na licencji Chevroleta. W 2008 r. wyprodukowano w FSO około 150 tys. sztuk samochodów i dopiero kryzys finansowy oraz problemy ze zbytem spowodowały w 2011 r. upadek zakładu.

Zakłady w Jelczu, Sanoku i Starachowicach próbował reanimować polski przed-

siębiorca Sobiesław Zasada. Pomimo trudności w pozyskaniu inwestora, zakłady zostały sprzedane i funkcjonowały już bez udziału państwa, jako właściciela. Zakłady w Jelczu z trudem utrzymywały produkcję do 2008 r., kiedy ogłoszona została ich upadłość. Przez cały czas funkcjonowały w spółce z Volvo i wprowadzały do produkcji nowe modele. Po ogłoszeniu upadłości i podziale na trzy odrębne przedsiębiorstwa, część fabryki została przejęta przez Hutę Stalowa Wola (Polska Grupa Zbrojeniowa) i istnieje do dziś. Zakłady w Sanoku, czyli Autosan, w różnych formułach prawnych i pod różnymi nazwami istnieją nadal, choć produkcja znacznie spadła. W 2013 r. postawiono je w stan upadłości, a w 2016 r. sprzedano Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Zakład w Starachowicach zakupiła w 2001 r. firma MAN i obecnie funkcjonuje jedynie montownia z bardzo ograniczonym wytwarzaniem poszczególnych elementów czy podzespołów.

Państwo mogło pozostać właścicielem zakładów motoryzacyjnych i nie dopuścić do ich likwidacji lub sprzedaży, ale było bankrutem. Nie miało kapitału niezbędnego do rozwoju lub reanimacji poszczególnych przedsiębiorstw. Można było nie prywatyzować nic, ale wówczas nie wyszlibyśmy z systemu kartkowego, a transport byłby oparty na koniach i zdychających Starach, Sanach i Jelczach.

Zakłady Przemysłu Ciągnikowego „Ursus”

W końcu lat osiemdziesiątych „Ursus” produkował ciągniki rolnicze w trzech rodzajach. Najbardziej rozpoznawalny typu „C” powstawał od roku 1960. Drugim był ciągnik ciężki produkowany w kooperacji z zakładami Zetor w ówczesnej Czechosłowacji. Trzeci – typ MF – wytwarzany był na bazie licencji firmy Massey – Ferguson. Docelowo Zakłady miały produkować 100 tys. sztuk ciągników rocznie, ale realnie mogły wytwarzać w granicach 30 tys. sztuk. Z początkiem 1990 r. w „Ursusie” pracowało ponad 12,5 tys. osób, z czego w samym Ursusie 7,5 tys. Zakład posiadał sześć filii – w Lublinie, Chełmnie, Włocławku, Gorzowie Wielkopolskim, Sulęcinie i Ostrowie Wielkopolskim. Filia

w Ostrowie Wielkopolskim, produkująca chłodnice będące niezłym produktem rynkowym, z początkiem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku została sprywatyzowana i odłączona od struktury Zakładów.

W 1993 r. zaniechano produkowania ciągników tego typu C. Zużyty park maszynowy spowodował, że nie było także możliwości kontynuowania produkcji ciągników ciężkich. Jedynie ciągniki produkowane na podstawie licencji firmy Massey – Ferguson spełniały wszelkie kryteria nowoczesnego wyrobu zdolnego do konkurencji na rynkach światowych. Ciągnik sprzedawano nie tylko w kraju. Za granicą rozwijał się rynek w USA, Turcji i w innych krajach. Obiecująco zapowiadał się rynek w RPA, gdzie rząd południowo-afrykański finansował zakup ciągników przez małych i średnich farmerów. W efekcie powstała montownia ciągników „Ursus” w Johannesburgu.

W latach Polski Ludowej „Ursus” działał zgodnie planem centralnym, który określał wielkość produkcji i cenę, po której ciągniki były przekazywane nabywcom. Cena była znacznie niższa od ceny fabrycznej, która pokrywała koszty wytworzenia wyrobów. Państwo udzielało dotacji na różnicę pomiędzy cenami, co stanowiło dla Zakładów komfortową sytuację, bo realizując plan nie musiały liczyć kosztów. Z początkiem 1990 r. zniknęła dotacja celowa, a cena fabryczna stała się rynkową. Znacząco zmniejszyła się też sprzedaż, ale „Ursus” tego nie zauważyły. Najważniejsze było utrzymanie zaplanowanej produkcji, co spowodowało zaprzestanie regulowania zobowiązań. Rozpoczęło się kredytowanie działalności na koszt dostawców, powstało zadłużenie, a „Ursus” stał się praktycznie bankrutem.

W 1992 r. grupa zapaleńców postanowiła ratować „Ursus”. Opracowała program naprawczy, który za zgodą władz państwowych i przy poparciu związków zawodowych zaczęła realizować od 1 stycznia 1993 r. Program dotyczył centralizacji zarządzania, radykalnego ograniczenia wydatków oraz rozwoju sprzedaży. Chcąc utrzymać płynność finansową wprowadzono ścisłe restrykcje. Każda złotówka

mogła być wydatkowana tylko na podstawie osobistego podpisu Dyrektora Finansowego.

Podjęte działania ratunkowe po kilku latach doprowadziły do osiągnięcia przez Zakłady zerowego wyniku finansowego. Przychody pokrywały koszty, a w perspektywie istniała możliwość osiągnięcia nadwyżek finansowych. Pozwoliłoby to spłacić zadłużenie w ramach prowadzonego z wierzycielami postępowania układowego. Tak się jednak nie stało.

Od strony formalnej od 1992 r. Zakłady były przedsiębiorstwem państwowym w zarządzie komisarycznym. Kiedy sytuacja była bardzo trudna, państwo, jako właściciel „Ursusa” nie ingerowało w działania Zakładów, ani też nie pomażało. Dopiero gdy poradzono sobie z kryzysem, właściciel zaproponował Zarządcy Komisarycznemu wejście na nowy rynek. Część osób zarządzających Zakładami uważała, że propozycja nie powinna być przyjęta. Brak porozumienia przyczynił się do likwidacji Zakładu.

„Ursus” mógł zostać przekształcony w spółkę akcyjną i zadebiutować na giełdzie, gdyby sprawowany był właściwy nadzór właścicielski. Państwo jednak nie działało jak właściciel kierujący się dobrem przedsiębiorstwa. Nie wspierało osób zarządzających i kierowało się dołącznym interesem państwa, poszczególnych partii politycznych, polityków oraz wąskiej grupy interesów.



fot. pixabay.com

CO SZWAJCARZY ROBIĄ LEPIEJ OD INNYCH

Szybka i nie biurokratyczna pomoc doraźna w Szwajcarii dla przedsiębiorstw i obywateli w celu złagodzenia kryzysu związanego z koronawirusem jest uważana za wzorcową na arenie międzynarodowej. Jest to tym bardziej godne uwagi, gdyż Szwajcaria uchodzi za kraj, w którym powolność jest nieodłączną częścią systemu polityczno-decyzyjnego.

Prof. Mirosław Matyja



fot. pixabay.com

Z pewnością państwo helweckie nie charakteryzuje się skłonnością do dużych wyzwań, krzykliwych obietnic i nie prowadzi polityki sukcesu. Tę cechę należy obecnie interpretować jako komplement, również dlatego, że szwajcarskie rozważne działania zapobiegające ślepemu akcjonizmowi i koncentracji sił w złym kierunku sprawdzają się w „wirusowej” praktyce.

Szybkość, prostota i konsekwencja

Wielu zagranicznych obserwatorów i polityków przecierało i przeciera oczy

ze zdziwienia obserwując helweckie poczynania w celu opanowania kryzysowej sytuacji. W rzekomo spokojnej Szwajcarii pakiet ratowania gospodarki został opracowany w ekspresowym tempie, co skutecznie pomaga firmom, pracownikom i samozatrudnionym w łagodzeniu skutków pandemii. Zaraz po podjęciu decyzji o programie wsparcia dla gospodarki, nastąpiło jego natychmiastowe wdrożenie. Podczas gdy inne kraje wciąż miały i nadal mają tysiące pomysłów na temat, jak płynność finansową wpomóc w gospodarce, w Szwajcarii od pierwszych dni kryzysu płynęły pomocowe pożyczki dla dziesiątek tysięcy

MŚP – bez odsetek, bez obszernych formularzy i co najważniejsze – zagwarantowane przez rząd federalny.

Zagranica jest pełna podziwu i zazdrości dla małego państwa helweckiego. W szczególności w Wielkiej Brytanii i w Niemczech media są przepełnione superlatywami dla szwajcarskiej operatywności. „Financial Times” i „Frankfurter Allgemeine Zeitung” informowały czytelników, że szwajcarskie firmy otrzymują pieniądze już w pół godziny po wypełnieniu wniosku kredytowego. Przy czym porównują, ile wysiłku potrzebują firmy w Wielkiej Brytanii, Francji lub Niemczech, aby uzyskać niezbędną do przeżycia pomoc finansową. Zaś Sunday Times podaje, że program dotacji i pożyczek awaryjnych w Szwajcarii wprost oszałamia swoją niezwykle wydajnością, prostotą, ale przede wszystkim szybkością.

Pochwały te są niewątpliwie uzasadnione. Mimo, iż program dotacji i pożyczek awaryjnych w Szwajcarii jest daleki od ideału. Ale tu wcale nie o to chodzi. W pierwszej fazie polityki kryzysowej doskonałość nie jest kluczowym priorytetem. Mottem, jakie przyświeca Szwajcarii, jest szybkość i konsekwencja w działaniu. Program musiał być szybki, ponieważ firmy tracą ekstremalnie szybko środki finansowe. Z drugiej strony, nie można w sytuacji kryzysowej analizować każdej ewentualności potencjalnego ryzyka, jak się to robi w przypadku udzielenia kredytu w „normalnych” czasach. Nadużycia, niezdolność spłacenia kredytu i inne efekty uboczne tej szeroko zakrojonej akcji pomocowej są z pewnością nieprzyjemne dla państwa, ale nigdy

nie można ich całkowicie uniknąć. Tymi ubocznymi zjawiskami rząd szwajcarski postanowił zająć się po zastopowaniu pierwszej fali bankructw firm i zwolnień pracowników.

„Bytów nie mnożyć, fikcji nie tworzyć”

Był prosty powód, dla którego Szwajcaria była w stanie działać tak szybko. Nie stwarzała bowiem żadnych nowych struktur i procedur oraz nie powoływała do życia nowych instytucji antykrzysowych. Pomoc była oferowana w ramach istniejących już instytucjonalnych struktur. Firmy mogły składać wnioski o pożyczkę w sposób niebiurokratyczny do rodzimego banku, natomiast pracownicy tymczasowo zamkniętych firm otrzymali pensje bezpośrednio od państwa.

Te nieskomplikowane i niebiurokratyczne interakcje między państwem a sektorem prywatnym działają w Szwajcarii bez zarzutu, gdyż jest to stosunkowo małe państwo, w którym istnieje wiele nieformalnych powiązań między decydentami w obu wymienionych sferach. Krótko mówiąc, ludzie znają się nawzajem i mają do siebie zaufanie. Te zależności generują z jednej strony solidarność w działaniu kryzysowym, a z drugiej strony poczucie obowiązku wobec państwa. Elity polityczne i gospodarcze w Szwajcarii nieustannie kontaktują się i spotykają, co ułatwia komunikację i konsensus – szczególnie pod presją upływającego czasu w okresie kryzysu.

Zdolność przystosowania

Szwajcarzy nie mają ambicji, aby wpływać na bieg świata lub Europy. Strategia funkcjonowania tego państwa zasadza się w pierwszej linii na ustawicznej adaptacji do zmieniającego się świata zewnętrznego. Jest to taktyka przystosowawcza, która polega na szybkim identyfikowaniu i konfiguracji nowych zagrożeń i wyzwań. Wzmacnia to elastyczność i odporność w działaniu na arenie międzynarodowej i wewnętrznej. Najlepszym przykładem jest tu zmieniający się kurs franka szwajcarskiego, który w okresie zagrożeń zyskuje na wartości, jako klasyczna waluta „ucieczkowa”.

Można wręcz stwierdzić, że małe państwo szwajcarskie jest skazane na ciągłą politykę przystosowawczą do zmieniających się warunków politycznych i ekonomicznych. Wynika to z prostego powodu – kraj ten zdany jest tylko na siebie. Szwajcaria nie oczekuje pomocy od innych państw ani organizacji ponadnarodowych (np. Unii Europejskiej). Podobnie dzieje się w przypadku aktualnej pandemii. Należało trzeźwo ocenić własne możliwości oraz działać konsekwentnie i szybko, nie oglądając się na innych. Jest również jasne, że po okresie wirusowego kryzysu, kraj ten musi poradzić sobie sam – zebranie pod brukselskim lub jakimkolwiek innym stołem nie wchodzi oczywiście w grę ze względu na neutralność i brak przynależności do UE.

Dominująca zasada polityki zagranicznej Szwajcarii brzmi: „licz tylko na siebie, to nie będziesz rozczarowany”. Pochodną tej zasady jest polityka finansowa państwa helweckiego, według której okres dobrej koniunktury służy odkładaniu pieniędzy na złe czasy. Nie ma to nic wspólnego z mentalnością Szwajcarów, lecz z poczuciem odpowiedzialności za swoje państwo i dyscypliną polityki finansowej. Z tym wiąże się z kolei tradycja utrzymania za wszelką cenę hamulca zadłużenia.

nia. To właśnie ten hamulec jest jednym z ważnych elementów gospodarczego sukcesu tego alpejskiego państwa.

Stabilne instytucje

Natomiast po stronie politycznej źródłem sukcesu jest system oparty na demokracji bezpośredniej (polityka jest bliska potrzebom obywateli), federalizmie (silne kantony promujące konkurencję i zapobiegające kumulacji władzy) i korporatyzmie (zaangażowanie różnych grup interesów prowadzi do zrównoważonych rozwiązań polityczno-ekonomicznych w każdej fazie procesu decyzyjnego). Ten triumwirat ma w Szwajcarii ponadczasową wartość, mimo że jest kwestionowany przez niektóre lewackie ugrupowania.

Kryzys związany z Covid-19 pokazał, że system szwajcarski funkcjonuje niezawodnie i profesjonalnie. Ale przede wszystkim kryzys ten potwierdził, że państwo to dysponuje funkcjonującymi instytucjami i procedurami, którym ludzie ufają. Jeszcze raz podkreślam, że helwecki pandemiczny sukces nie ma nic wspólnego z mentalnością Szwajcarów, lecz z bezgranicznym wręcz zaufaniem ludzi do organów państwowych, które działają dla obywatela i z obywatelem, a nie przeciw niemu. ■



fot. pixabay.com

NEAPOLITAŃSKA PUSTYNIA, CZYLI KORONAWIRUS W STOLICY KAMPANII

Miasto tyleż piękne, co niejednoznaczne. Obdarzone wszystkimi darami urody świata i dotknięte wszelką niesprawiedliwością. Walczące do upadu o wolność, o godność, o zdrowie i życie. Neapol.

Dorota Ceran



fot. Diego Pisano

Dziennikarka z mediolańskiej stacji RAI, Elena Biggioggero przyjechała do Neapolu i poczuła się zawiedziona, oszukana, dotknięta do żywego. Miała w planach zrobienie reportażu o tym, jak niefrasobliwi ludzie południa Włoch lekceważą epidemię, tłumnie wylegają na wąskie ulice centrum miasta, pozbawieni maseczek, całujący się, padający sobie w ramiona. Wyszła z operatorem na ulicę w samym sercu miasta i ... nie spotkała nikogo. Stała, rozglądała się i nic jej się nie zgadzało - „sfortunatamente” czyli jakże pechowo.

To są skutki hołdowania stereotypom, w tym wypadku ciągłej rywalizacji włoskiej północy z południem i Neapolem,

stolicą regionu Kampania i największym miastem południa. Fałszywe informacje podyktowane tymi stereotypami znalazłam także w polskich mediach i to nie tylko rządowych, niestety.

Tymczasem nie ma w Europie miejsca, które byłoby bardziej doświadczone na przestrzeni dziejów w dziedzinie walki z różnej maści zarazami, morowym powietrzem, epidemiami niż Neapol właśnie. Czarna ospa, dżuma, cholera – wszystkie nawiedziły to miasto istniejące nieprzerwanie od trzech tysięcy lat nad jedną z zatok Morza Tyrreńskiego.

Ostatnie przypadki dżumy wcale nie są takie znowu odległe w czasie, bo miały miejsce w pierwszej połowie XIX wieku.

Za to cholera to już zupełnie współczesne doświadczenie, ponieważ ostatni jej wysyp zdarzył się w 1973 roku!!! Zdiagnozowano wówczas 278 przypadków zakażenia, z czego większość chorych uratowano. Zmarły wtedy 24 osoby. Skąd zaraza cholery w europejskim mieście w XX wieku? Nie, nie z brudu i nie z powodu jakże przereklamowanych śmieci. Powodem zakażenia były spożywane w ogromnej ilości owoce morza, których partie okazały się zainfekowane.

Chorych otoczyli opieką lekarze zakaźnicy ze szpitala Cotugno, tego samego, który dzisiaj mając na pokładzie ludzi zakażonych koronawirusem nie dopuścił do zarażenia ani jednego medyka! To szpital z tradycją od 1885 roku, w którym



fot. Dario Esposito

pracują zarówno praktycy przy łózkach chorych, jak i naukowcy poszukujący nowych leków, szczepionek. Unosi się nad nimi duch doktora Giuseppe Moscatiego, takiego neapolitańskiego Judyma, który bez strachu o własne życie leczył zarażoną ludność, bez względu na jej status materialny. Na jego biurku leżał kapelusz z napisem „Jeśli masz – daj, jeśli nie masz – weź”. Na dzisiejszych ulicach Neapolu, w dobie koronawirusa to przesłanie jest ciągle żywe. Na składanych stoliczkach czekają produkty dla każdego, kto ich potrzebuje. „Nie masz – weź”.

Szpital Cotugno to placówka modelowa w skali całej Europy. Stacja Sky opublikowała raport na temat neapolitańskiego szpitala. Z raportu wynika, że żaden, literalnie żaden lekarz ani pielęgniarz nie zostali zarażeni. A pracuje tam potężna armia ludzi - 100 lekarzy i 600 pielęgniarzy oraz pracowników socjalnych. Ale nie tylko to jest warte odnotowania. Jest to bowiem w ogóle szpital uznany za najlepszy w całych Włoszech, zarówno pod względem organizacji jak i jakości ofero-

wanych usług medycznych. Dodam też, że i pod względem badań klinicznych.

4. maja 2020 w Szpitalu Cotugno w Neapolu przebadano 876 wymazów, z czego tylko trzy dały wynik pozytywny. Łączna liczba wykonanych tam do tego dnia testów to 83 592 z czego pozytywne - 4 459. Umarły 362 osoby. Osoby hospitalizowane to oczywiście pacjenci z całej Kampanii (i grupa przybyszów z północy szukających schronienia w Neapolu), której liczba ludności jest wprawdzie porównywalna z województwem mazowieckim – ok. 5 i pół miliona, ale gęstość zaludnienia jest cztery razy większa.

Zwykle zatłoczone do granic możliwości ulice Neapolu są dzisiaj zupełnie puste. Il deserto – pustynia. Ludzie nie dlatego zamknęli się w domach, bo rząd kazał, czy w gazecie napisali. Neapolitańczycy te zachowania mają we krwi, podskórnie wiedzą, że zatrzymanie epidemii jest wprost proporcjonalne do zatrzymania ludzi w biegu. Nie trzeba im tego tłumaczyć w programach telewizyjnych ani na-

rzucać dekretami. Zbyt wiele mają własnych, na własnej skórze wygarbowanych doświadczeń.

I nagle miejsce, które traktowane jest przez północ po macoszemu, zalewane morzem nieskrywanej niechęci graniczącej czasami z pogardą, okazuje się, ku zdumieniu pani Eleny, wzorem godnym powielenia.

Dzisiaj, kiedy czytacie te słowa, sytuacja jest nieco inna, bo pandemia odrobinę odpuszcza. Pustynia neapolitańskich ulic gdzieś się zaludnia. Jeszcze bardzo ostrożnie, jeszcze bez szaleństw. Pojawiają się pojedyncze osoby, czasami pary. Ktoś wdycha morską bryzę na brzegu przy zamku, na chwilę zdjął maseczkę, by poczuć słony smak fali rozbijającej się o kamienisty brzeg. Otwarto parki, restauracje wydają swoje kulinarne cuda na wynos, życie powolutku, ostrożnie wraca na swoje tory. Ale Neapol ciągle jeszcze czeka na to, co najważniejsze – na powrót człowieka do człowieka. ■

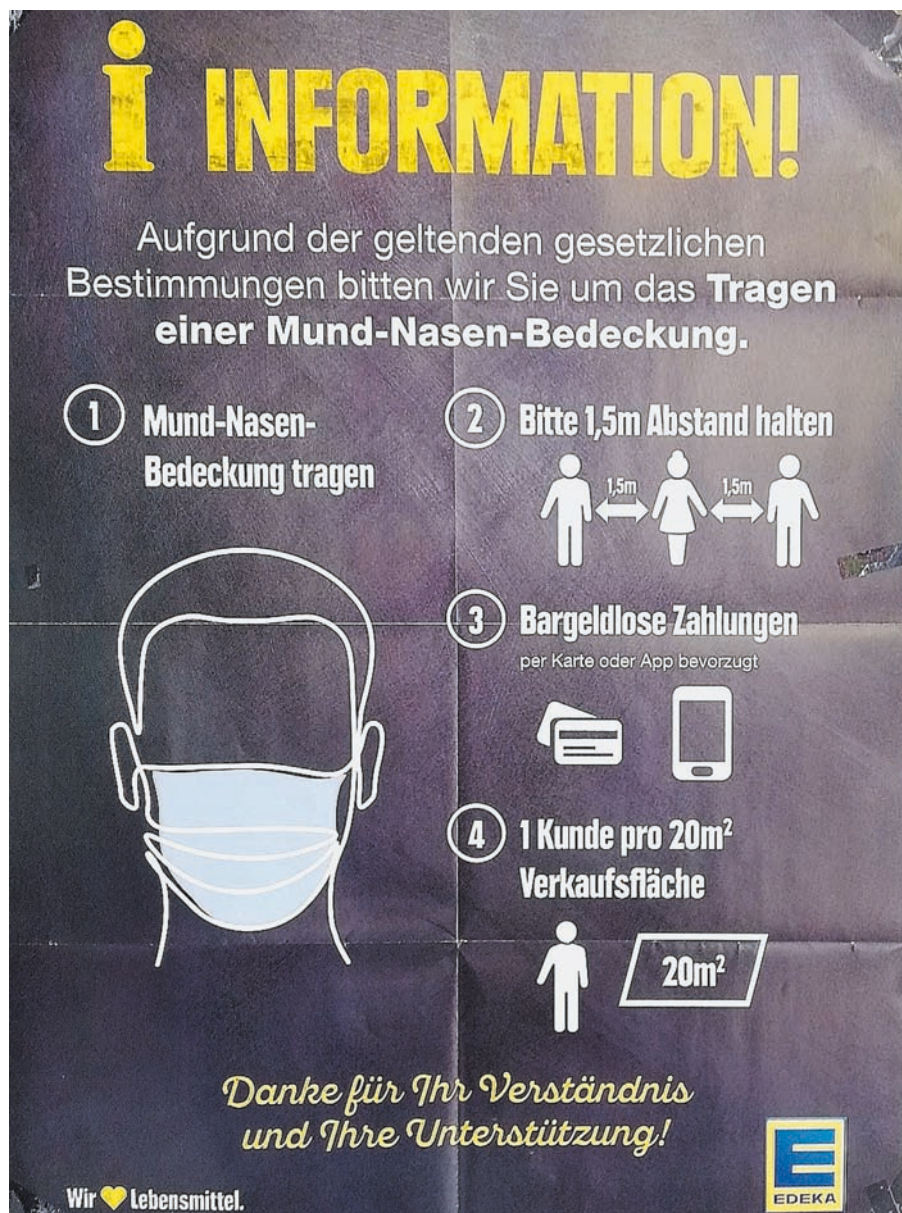


fot. Dario Esposito

THE DAY AFTER

Bawarczycy w ekspresowym tempie próbują wrócić do normalności. Ale powrotu do sytuacji sprzed pandemii nie ma. Już nic nie będzie takie jak przedtem, zarówno w sprawach wielkiej wagi, jak i tych codziennych, dotychczas niezauważalnych.

Bogumił Lechowicz



fot. Bogumił Lechowicz

Racjonalni Niemcy przyjęli jako zasadę noszenie masek w miejscach gromadzenia się ludzi i zachowywanie odstępów od 1,5 do 2 metrów między obywatelami. Dlatego w masce wchodzi się do sklepu, autobusu i pociągu, ulice są od tego obowiązku wolne. Temu ograniczeniu Niem-

cy podporządkowują pozostałe działania, mając na uwadze przede wszystkim ponowny rozruch gospodarki.

Branżowe odmrażanie

Od połowy kwietnia ruszyły sklepy, z początkiem maja place zabaw oraz w ogra-

niczonym zakresie szkoły i przedszkola. W trzeci majowy weekend Niemcy mogli udać się do ulubionych ogródków piwnych, a tydzień później zjeść normalnie w restauracji. Dozwolone jest uprawianie sportów niekontaktowych takich jak golf, tenis czy lekka atletyka, co oznacza otwarcie dla chętnych obiektów na których są one uprawiane. W niedzielę 30 maja otwarte zostały hotele, kempingi, parki rozrywki, a także szkoły wyższe i centra młodzieżowe. 8 czerwca ruszyły studia fitness, otwarte zostały baseny oraz szkoły tańca. Tydzień później i koncerty dla 50 osób w zamkniętych pomieszczeniach zaś do 100 osób na otwartej przestrzeni. 15 czerwca ponownie otwarte zostaną kina, ale bez gastronomii. Po 5 lipca ma być już względnie normalnie. Czy na pewno?

Powirusowe pustki

Po pierwszym szturmie na ogródki piwne, lokale gastronomiczne świecą pustkami. Restauratorzy są zaszokowani i przerażeni. Zachodzą w głowę czy jest to strach gości przed zarażeniem się i unikanie wizyty w lokalu czy też zmiana trendu w zachowaniu gości, którzy od ponad dwóch miesięcy odkrywają zalety kuchni domowej, tak dla ciała (nowe dania), ducha (wspólne przyrządzanie i spożywanie posiłków), jak i kieszeni (ewidentnie taniej niż w lokalu). W każdym razie są pełni obaw o przyszłość swoich biznesów. Szef lokalnego związku restauratorów obawia się plajty nawet 40 proc. placówek gastronomicznych.

Powirusowe tłumy

Przed Zielonymi Świątkami przerażeni byli burmistrzowie miejscowości wypoczynkowych, tradycyjnych miejsc wypadów weekendowych. Przedłużony weekend na przełomie maja i czerwca, kiedy dzień



fot. pixabay.com

1 czerwca jest świętem w większości państw i wizja najazdu wycieczkowiczów, tak jak w przedostatnią majówkę, spędza im sen z ocu. Już wtedy zachowanie jakichkolwiek reguł postępowania, w szczególności odstępów w czasie pandemii było niemożliwe, a policja bezradna wobec tłumu, który w końcu wyrwał się ze swoich czterech ścian. Podobnie jak była bezradna przed dwoma tygodniami, gdy na manifestację antykrzysową zamiast 100 osób przyszło 3 tys., lekceważąc wszystkie obowiązujące ograniczenia. Ogólnie ponad 50 tys. osób zostało już ukaranych w Niemczech za nieprzestrzeganie ograniczeń związanych z pandemią covid-19.

„Gorsze” branże

Zawrzało w niemieckim internecie, gdy po decyzji rządu o wsparciu Lufthansy 9 mld EUR, ukazało się zdjęcie samolotu pełnego pasażerów, a obok - prawie pusty widowni filharmonii w Wiesbaden, gdzie zamiast 1.041 widzów może być ich tylko 200 (co trzeci fotel i co drugi rząd). Wściekli artyści, melomani i ludzie związani z kulturą dali upust swojej złości wobec takiego uprzywilejowania biznesu. Nikt nie potrafił jasno wyjaśnić dlaczego

w zatłoczonym samolocie nie ma zagrożenia, a jest w przestronnej sali koncertowej. Artyści zostali przez kryzys najbardziej poszkodowani. Nie dość, że nie mogą zarobkować, a jako w większości freelancerzy nie załapali się na rządowe wsparcie, lub było ono mikroskopijne, to jeszcze nikt nie ma pomysłu, jak mają te-

raz funkcjonować w ramach obowiązujących ograniczeń. Jak ma grać na puźonie muzyk w przyłbicy z plexi? W jaki sposób rozsadzić orkiestrę symfoniczną, żeby zachować półtorametrowy odstęp? Co z orkiestrą siedzącą w operowej fosie? Jakoś poradziła sobie monachijska filharmonia rozpoczynając koncert od utworów kameralnych na kwartet smyczkowy. Ale co z resztą? Jak prowadzić próby w teatrze, żeby aktorzy byli wzajemnie zabezpieczeni? Nikt nie wie i to nie tylko w Niemczech. Ujawniają się problemy o których wcześniej nikt nie myślał i nikomu nie przychodziły do głowy.

Zmiany społeczne i polityczne

W ogródku piwnym trzeba wypełnić kartę zgłoszeniową z danymi kontaktowymi. W kościele liturgia wzbogaciła się o dezynfekcję rąk kapłana oraz zakładanie maski i rękawiczek przed udzieleniem komunii. Przed wizytą na basenie konieczna jest rezerwacja miejsca, oczywiście online. Zmiany są wszędzie i nie będzie już jak poprzednio. Tylko notowania poparcia premiera Bawarii, Södera, potencjalnego sukcesora kanclerz Merkel, poszybowały w Bawarii do poziomu prawie 90 proc., a na CSU zamierza głosować 48 proc. tutejszych wyborców. Niektórzy potrafią także w kryzysie wyciągnąć profity dla siebie. ■



fot. Bogumił Lechowicz

DO SPRAW DYSTANSIK

Refren piosenki Pawła Wójcika: „*Koniaczek, lansik, do spraw dystansik*” jest dowcipnym credo starszego pana, co to „*już bliżej ma niż dalej*”. Może też stanowić epidemiologiczne zalecenie.

Jerzy Cichowicz



Jules Elie Delaunay, Plaga w Rzymie, 1869. fot. Jerzy Cichowicz

Pierwszy przypadek zakażenia wirusem COVID-19 w Polsce stwierdzono w dniu 4 marca 2020 roku. Od jego pierwszego rozpoznania i opisanego w grudniu 2019 roku w Chinach, potrzebował niespełna trzech miesięcy, aby przybyć do nas. Przez ten czas narastał w nas wszystkich strach oraz słabło przekonanie, że jakimś cudem do nas nie dotrze. W mediach społecznościowych krążyły przerażające fotografie ukazujące rzekomo spustoszone epidemią ulice chińskich miast, które usłane były workami ze zwłokami. Książki i dzieła sztuki ukazujące sceny z czasów zarazy dodatkowo podsycały naszą wyobraźnię, jak np. obraz J. E. Delaunay'a. Artysta inspirację zaczerpnął z powstałej około 1292 roku „Złotej legendy” Jakuba de Voragine. Jest w niej opisana scena arbitralnie zwiastowanej śmierci: „(...) *wielu*

ludzi własnymi oczyma widziało dobrego anioła, za którym szedł anioł zły, niosący oszczep, a anioł dobry wskazywał mu, gdzie ma uderzać i zabijać. Ilekroć zaś uderzał w jakiś dom, tylekroć wynoszono stamtąd zmarłych”. Równie przerażający obraz zarazy namalował w XV wieku Josse Lieferinxe.

Na szczęście udało nam się wszystkim zachować rezerwę do tych przerażających informacji i wyobrażeń. Przyjęta powszechnie zasada dystansowania się zaowocowała bezpieczeństwem we wszystkich podejmowanych działaniach.

Dystans społeczny i jego urok

Przed pandemią wielu menedżerów, a szczególnie z branży bankowej i informatycznej, musiało lub chciało uczestniczyć

w licznych i kosztownych konferencjach. Organizacja międzynarodowej konferencji to spore wyzwanie. Wprawdzie hotele i współpracujące z nimi firmy dysponują profesjonalnym sprzętem, wyposażeniem oraz kompetentnymi specjalistami, ale zawsze to konieczność przywiezienia kilkudziesięciu ton sprzętu, który służy do budowy sceny, dekoracji, stoisk partnerskich, aranżacji pomieszczeń do tłumaczeń symultanicznych, pokoju dla dziennikarzy itp. Przeciętny uczestnik konferencji nie zdaje sobie sprawy, że to wszystko przyjeżdża do hotelu wielkimi ciężarówkami w noc poprzedzającą imprezę. Jeżeli zaplanowano urozmaicić kolację pierwszego lub drugiego dnia konferencji koncertem znanego artysty, to wysiłek organizacyjny ulega podwojeniu.

Pandemia cały ten pełen zgiełku kon-

ferencyjny świat zmiotła z powierzchni planety w kilka dni. Wystarczyło jednak parę tygodni, aby w jego miejsce zaczęły pojawiać się przedsięwzięcia, które w oparciu o bezpłatne lub bardzo tanie oprogramowanie umożliwia realizację merytorycznych celów konferencji, seminariów i związanych z nimi debat. Zoom, Meet, Teams, Skype itp. systemy pojawiły się na ekranach naszych telefonów. Okazało się, że można wysłuchać wystąpień ekspertów z różnych zakątków świata i obejrzeć ich prezentacje na ekranie własnego telefonu bez wychodzenia z domu. Już nie trzeba tłoczyć się w przezwach po filiżankę kawy i pośpiesznie jeść lunch. Wystarczy w dowolnym momencie pójść do kuchni, a po posiłku powrócić do programu mając możliwość odtworzenia opuszczonego fragmentu. Koszty tak realizowanych konferencji zmalały do zera. Dużą międzynarodową imprezę jest w stanie zorganizować kilka osób przy pomocy powszechnie dostępnego sprzętu. Firmy pośredniczące, hotele i ich centra konferencyjne, kuchnie cateringowe, wypożyczalnie profesjonalnego sprzętu audiowizualnego i scenicznego stały się niepotrzebne. Gigantyczne ściany zbudowane z wyświetlaczy LED przegrywają na naszych oczach walkę z wyświetlaczem Super Retina telefonu komórkowego.

Ten hotelowo-konferencyjny biznes pewnie podniesie się, gdy zmaleją pandemiczne rygory i dystans społeczny. Jednak z całą pewnością ulegnie głębokiej zmianie. Możliwość i wygoda uczestnictwa w konferencjach umiejscowionych w wirtualnej przestrzeni pozostanie z nami na dłużej.

Nauka w chmurze

Dostępne narzędzia informatyczne są wykorzystywane też do realizacji nauki zdalnej w szkołach i na uczelniach. Wspomagają je kanały telewizyjne i YouTube. To prawda, że byliśmy świadkami wielu żenujących wpadek, szczególnie w audycjach edukacyjnych telewizji publicznej. Konieczność kontynuacji nauki przez szkoły zachęciła nauczycieli do intensywnej pracy nad jakością internetowych i telewizyjnych zajęć lekcyjnych i do coraz śmielszego sięgania po nowe funkcje. Nie można przecenić w tym pro-

cesie roli rodziców, którzy po raz pierwszy poziom nauki swoich dzieci zobaczyli z tak bliska. Przymusowy pobyt rodziców wraz z dziećmi w domu, często przez 24 godziny na dobę, zintensyfikował te relacje. Nowe formy komunikacji nauczycieli z uczniami pozwalają na weryfikację poziomu nauczania, ale także dają szansę tym najlepszym na rozszerzenie zakresu wiedzy. Wystarczy dodać do tego system udostępniania informacji i finansowania nauczania zdalnego. Powstała realna możliwość wzbogacenia i rozszerzenia programów nauczania o lekcje z najlepszymi wykładowcami. To korzyść dla uczniów, ale także możliwość poprawy sytuacji materialnej nauczycieli – tych najlepszych i aktywnych w nowych mediach. Ten proces autonaprawy edukacji już na stałe z nami pozostanie.

Gospodarka w czasach zarazy

Żadne dotychczasowe wysiłki nie odmieniły obrazu światowego i krajowego e-commerce jak te trzy miesiące pandemii. Zapewne pomocna była gotowa infrastruktura dystrybucyjna (firmy kurierskie, paczkomaty, punkty odbioru itp.), ale dopiero zamknięcie Centrów Handlowych i większości sklepów spowodowało, że kupujemy dosłownie wszystko w Internecie. Dla wielu marek udrożnienie już posiadanych lub stworzenie od zera kanałów sprzedaży internetowej stało się warunkiem przetrwania. Zjawisko to objęło także gastronomię. Jeszcze nie znamy pełnych skutków pandemii COVID-19 dla restauracji i kawiarni, ale można oczekiwać, że na rynku pozostaną tylko te, które dostosowały się do nowych okoliczności. Priorytetem było utrzymanie działalności kuchni poprzez sprzedaż na wynos oraz poszukiwanie nowych odbiorców. Przykładem formy utrzymania „ognia pod garnkami” są posiłki dla służby zdrowia. Takie działania sprzyjają utrzymaniu zespołu pracowników oraz kanałów zaopatrzeniowych.

Równie sprzyjające rozwojowi e-commerce było epidemiologiczne wsparcie dla transakcji zbliżeniowych. Podejmowane przez operatorów transakcyjnych oraz organizacje płatnicze akcje nigdy nie przyniosły tak spektakularnych suk-

cesów jak rozporządzenie Ministra Zdrowia wdrażane w otwieranych sklepach. Wszyscy oswoili się z kartami płatniczymi, które dotychczas często służyły tylko do wypłat bankomatowych. Ten dynamiczny wzrost transakcji zbliżeniowych przełożył się także na wzrost zakupów internetowych, dla których karta jest wygodnym środkiem płatniczym.

Otwarcie Centrów Handlowych i sklepów zdaje się potwierdzać opisaną zmianę. Proporcje pomiędzy handlem internetowym, a tym realizowanym w tradycyjnych kanałach uległy zmianie i wszystko wskazuje na to, że ten proces trwać będzie nadal, nawet wówczas, gdy nie będziemy zmuszeni do utrzymywania dyktansu społecznego.

Wszystkie opisane zmiany znajdą odzwierciedlenie w nowym paradygmacie pracy zawodowej. Przymusowa popularność pracy zdalnej, rozwój pracy grupowej w oparciu o narzędzia informatyczne szybko doprowadzą do fundamentalnych zmian. Dzięki się one na naszych oczach i z punktu widzenia pracownika nie wróżą niczego dobrego. Obawiam się, że to one okażą się najgłębsze i najtrwalsze. ■



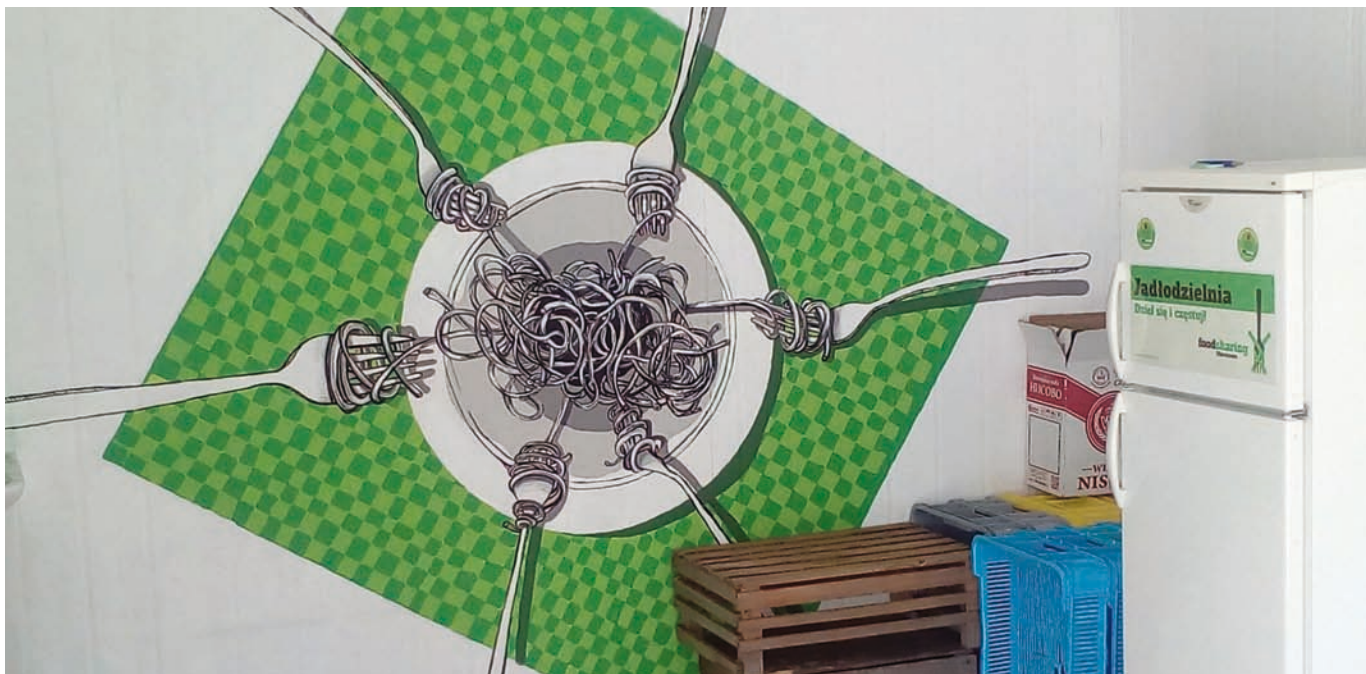
Josse Lieferinxe, Św. Sebastian (modlący się za osoby cierpiące i zmarłe w wyniku zarazy), 1490. fot. Jerzy Cichowicz

FOODSHARING WARSZAWA

DOBRA SPRAWA

Jedz, dziel się i kochaj. I nie marnuj jedzenia! - to hasło Foodsharing Warszawa, społecznego ruchu, który od czterech lat w Warszawie prowadzi walkę ze zjawiskiem marnowania żywności.

Jacek Malicki



fot. udostępnione przez Foodsharing Warszawa

Równo 9 maja tego roku minęła czwarta rocznica powstania pierwszej Jadłodzielni w Warszawie, a zarazem w Polsce. Obecnie działa ich około stu w prawie czterdziestu miastach.

Zaczął się w Warszawie, a tak naprawdę - w Niemczech. Pomysłodawcą całego ruchu jest bowiem Rafael Felmmmer z Berlina, typ buntownika i aktywisty, który przez 5 lat obywatel się bez pieniędzy, kontestując konsumpcyjny styl życia. W tym czasie odbył podróż z Holandii do Meksyku, nie wydając ani grosza. Właśnie w trakcie tej podróży uświadomił sobie, że w wielu miejscach na świecie jedzenia, które się marnuje jest tyle, że wcale nie trzeba go kupować.

Foodsharing w Niemczech rozpoczął swą działalność w 2012 roku. Kilka lat później,

Berlin odwiedziły Agnieszka Bielska i Karolina Hansen, które poznały się poprzez wspólną pracę w warszawskim Banku Żywności. Zetknęły się z rozwiniętym, dobrze działającym ruchem, ale miały plany na dużo więcej, czyli platformę Yunity będącą sposobem na dzielenie się swoją wiedzą, umiejętnościami, usługami, a nawet ziemią. Pomysł na oddolny ruch, który upowszechnia ratowanie żywności i dzielenie się nią tak bardzo im się spodobał, że postanowiły go przenieść do Polski.

Uratować żywność

Foodsharing opiera się na zaangażowanych ludziach oraz na Jadłodzielnich. Ratuje żywność, edukuje i tworzy miejsca, w których ludzie mogą podzielić się z innymi i samemu się poczęstować. Jadłodzielnie to z reguły szafka i lodówka,

czasem tylko szafka, a czasem tylko lodówka. Wszystko zależy od miejsca, gdzie powstaje. Ważne jest to, żeby stworzyć miejsce, które działa, nawet w wymiarze mikro-lokalnym. Może to być szafka na naszej klatce schodowej albo wydzielona półka w lodówce w miejscu naszej pracy, może to być też lodówka ustawiona na korytarzu naszej uczelni. Tak właśnie powstała pierwsza Jadłodzielnia, na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Oczywiście, najlepiej jest, gdy jest to miejsce dostępne dla wszystkich - i tylko takie trafiają na listę oficjalnych Jadłodzielni działających w ramach Foodsharing Warszawa - ale tak naprawdę Jadłodzielnia to po prostu przestrzeń, gdzie można się wymieniać żywnością, która w innym przypadku by się zmarnowała. Obecnie niektóre warszawskie Jadłodzielnie to

miejskie projekty, realizowane w ramach budżetów partycypacyjnych lub po prostu ze środków samorządowych. Taki charakter ma Jadłodzielnia na Żoliborzu, na Wiatracznej czy też na Ursynowie. Niewątpliwie trudno je nazwać w stu procentach inicjatywami oddolnymi, ale czy lepiej, żeby miasto wydało środki na budowę miejsc parkingowych? Część Jadłodzielni to twory całkowicie oddolne - ludzie bezinteresownie oddają lodówki, szafki, artyści je ozdabiają, ktoś inny pomaga w transporcie, ktoś udostępnia przestrzeń bez angażowania wielkich pieniędzy.

Kopalnie jedzenia

Foodsharing to ruch całkowicie wolontariacki. Jego siłą są Ratownicy i Ratowniczk Foodsharing, czyli wolontariusze opiekujący się Jadłodzelniami. W razie potrzeby jadą w określone miejsce, żeby uratować żywność, która za chwilę może trafić do śmietnika. Zamiast tego ląduje w Jadłodzielni. Jest ratowana z różnych miejsc, nie tylko małych sklepów czy restauracji. Szkolenia, konferencje, wystawy, wesela, przyjęcia, bankiety, a czasem nawet imprezy klubowe - wszędzie tam, gdzie przygotowany jest poczęstunek i na koniec okazuje się, że było go za dużo.

Prawdziwą kopalnią jedzenia bywają plany zdjęciowe. Ekipy, które kręcą, nie zawsze wszystko zjedzą, a sama żywność też bywa aktorem czy aktorką. Kilkadzieści skrzynek pięknych, „filmowej urody” warzyw i owoców odzyskano, gdy na jeden dzień pod Warszawą zbudowano na potrzeby filmowców targowisko. Targi, te prawdziwe, też często zapraszają do współpracy. W ciągu czterech lat warszawski Foodsharing ratował jedzenie na Veganmanii, Slow Weekendzie i Targach Śniadaniowych. Czasem zdarza się ratować na tradycyjnych bazarach, np. na targowisku Wolumen, w ramach wspólnej, pilotażowej akcji z Miastem Stołecznym Warszawa. Na bazarach sprawnie też działają lokalni freeganie.

Obciążenie dla środowiska

Część Ratowników jest zmotoryzowana, ale większość, których można spotkać w akcji, przypomina czasem „mrówki”,

obładowane jedzeniem. Samochody to nieco kontrowersyjny temat, bo jeśli do uratowania jest mała ilość jedzenia, to jeżdżenie po nią samochodem przynosi środowisku więcej szkody niż pożytku.

Tu docieramy do sedna idei całego ruchu, czyli ekologii. W Polsce walka z marnowaniem żywności najczęściej kojarzona jest z działalnością charytatywną, pomocą dla osób bezdomnych czy też najuboższych, z Caritasem i Bankami Żywności. Foodsharing zrywa z tym schematem, bo z Jadłodzielniami może korzystać każdy, kto ma na to ochotę.

Zgodnie ze światowymi statystykami, jedna trzecia całej żywności wyprodukowanej przez ludzkość jest marnowana. To ogromne obciążenie dla środowiska i dla zasobów naturalnych. W ten sposób marnowana jest woda, powierzchnia ziemi przeznaczana pod uprawy i niepotrzebnie też spalamy paliwo użyte do transportu. Na koniec tego wszystkiego zostaje góra odpadów i opakowań. Foodsharing Warszawa dąży do popularyzacji świadomej, zrównoważonej konsumpcji i ograniczenia zjawiska nadprodukcji żywności. Dlatego nawet gdy osoba dobrze zarabiająca zajrzy do Jadłodzielni, trafi w niej na przykład na paprykę, makaron czy pieczywo. Może skorzystać z tych produktów, zamiast kupować kolejne w sklepie.

Edukacja „zero waste”

Foodsharing to nie tylko fizyczne ratowanie żywności, ale także edukacja. Nieprzypadkowo członków ruchu można regularnie spotkać na wydarzeniach promujących tzw. trend „zero waste”, czyli w Kawiarenkach Naprawczych bądź na Targach Zero Waste. Walka ze zjawiskiem marnowania żywności to po prostu walka dla dobra nas wszystkich i naszej planety. Jadłodzielnie w pewnym stopniu pełnią rolę „alternatywnej pomocy społecznej”, a korzystając z nich oszczędzamy na wydatkach. Nie jest to jednak ich głównym celem. Jeśli ktoś chce specjalnie kupić żywność po to, by zostawić ją w Jadłodzielni, to nie jest ten projekt.

Foodsharing bywa czasem mylony z freeganizmem, głównie dlatego, że osoby które w nim działają, są nieraz same freeganami. Nawet pierwsze spotkanie, które Agnieszka i Karolina zorganizowały w lutym 2016 roku na Jazdowie, by znaleźć osoby chętne do działania, zostało ogłoszone właśnie na warszawskiej grupie freegańskiej. Freeganie to osoby, które doskonale zdają sobie sprawę, ile niesprzedanej żywności jest wyrzucane. Nurkują w kontenerach i polują też na inne miejsca ze względów światopoglądowych, a nie ekonomicznych. Dlatego są naturalnym zapleczem dla grupy osób



fot. udostępnione przez Foodsharing Warszawa



fot. Nadine Aleynik

zaangażowanych w Foodsharing. Nie jest to jednak projekt freegański i nigdy nie będzie. Na każdej Jadłodzielni wisi plakat z informacją, że nie należy w niej zostawiać produktów, które miały kontakt z odpadami spożywczymi lub komunalnymi. Jadłodzielnia ma być miejscem bezpiecznym, a Foodsharing to ruch, który powinien działać o jeden krok wcześniej, czyli ratować żywność zanim wpadnie do śmietnika. To dużo wygodniejsze, niż nurkowanie w kontenerach. Większość ludzi zwyczajnie brzydzi się grzebaniem w śmietniku i nie zagląda do Jadłodzielni, do której trafia jedzenie z tzw. skipów. Skipy to różne produkty - jednym mija data ważności, niektóre mają zniszczone opakowanie, inne to opakowania zbiorcze, w których na przykład jeden owoc jest zgnieciony. Część nie wiadomo, czemu są wywalone - być może półki były potrzebne na kolejną, nową dostawę. Zostały wyrzucone przez sklepy, mimo że nie utraciły swojej przydatności. I tak, bez zdobyczy z freegańskich wypraw, w Jadłodzielnich ląduje cała masa jedzenia. W zeszłym roku Foodsharing Warszawa uratował prawie 60 ton żywności!

Jak można działać

Jak chyba we wszystkim, również w działaniu Foodsharing sporo ostatnio "namie-

szał" koronawirus. Większość Jadłodzielni zamknęła się sama: duża część z nich znajduje się w placówkach kulturalnych, społecznych i oświatowych, w miejscach aktywności lokalnej, na wydziałach wyższych uczelni, w OPS-ach, które ze wzglę-

du na stan epidemii przestały być dostępne i dopiero teraz powoli się otwierają (albo i nie). Potem zamknięto restauracje. Po długich dyskusjach zdecydowano, by w tym najcięższym okresie tymczasowo zamknąć Jadłodzielnie, a uratowaną żywność przekazywać do organizacji charytatywnych i pomocowych. Na szczęście wszystko wraca do normy. Z siedemnastu miejsc na mapie Warszawy, które działały na początku marca, w tej chwili otwartych jest sześć Jadłodzielni. Z dodatkowymi zasadami: korzystamy pojedynczo, w rękawiczkach, w razie czego zachowujemy 2 m odstępu od innych. Żywność zawsze pozostawiamy szczelnie zapakowaną, by mieć pewność, że korzystanie z Jadłodzielni jest bezpieczne. By otworzyć kilka następnych, Foodsharing Warszawa poszukuje do współpracy osób, które pomogą w opiece nad Jadłodzielniami. Przede wszystkim na Bazarze Lotników. Już prawie lato, więc będzie tam sporo warzyw i owoców do uratowania!

Dlatego jeśli jesteś chętna/chętny, napisz na adres warszawa@foodsharing.pl, albo znajdź swój lokalny Foodsharing na facebooku. ■



fot. Nadine Aleynik

NIE MA PLANETY B.

Katastrofa klimatyczna jest faktem. Nie ma już czasu na dywagacje i spory jak bardzo nam grozi i czy powinniśmy zareagować. Nie ma wątpliwości co do czynników antropogenicznych. Trzeba zmierzyć się z prawdą. Jako ludzkość zawaliliśmy sprawę i pozwoliliśmy, by nasz dom runął w gruzach. Jeżeli szybko weźmiemy się do roboty może uda nam się go choć w części odbudować.

Liliana Kozielska

Ostatnie miesiące wybiły nas z rytmu. Koronawirus zamknął nas w domach i pozbawił różnych aspektów życia, które uważaliśmy za coś oczywistego. Oprócz podróży, wygód i spotkań z innymi ludźmi zostaliśmy pozbawieni możliwości zarabkowania, a zakupy musieliśmy ograniczyć w wielu przypadkach do niezbędnego minimum lub do tego co akurat dostępne było w sklepach.

Lekcja pierwsza - temperatura

Może i dobrze, że nam się to przytrafiło, bo dotknęła nas namiastka tego, jak za chwilę może wyglądać nasza codzienność. Pokolenie dzisiejszych trzydziestolatków może być ostatnim, które jeszcze z dzieciństwa zapamięta Ziemię taką, jaką chcielibyśmy zostawić dla przyszłych pokoleń. Jeśli natychmiast nie zaczniemy działać, dzieci urodzone w 2020 roku mogą wejść w dorosłość już na zupełnie innej planecie.

Ekspertcy oceniają, że do 2050 roku temperatura na ziemi wzrośnie o 2, a ostatnio mówi się, że nawet o 3 stopnie Celsjusza. Oznacza to tyle, że stopnieją lodowce i podniesie się poziom wody w oceanach. To nie jest odległy scenariusz. Już teraz mamy do czynienia z topnieniem wiecznej zmarzliny. Wydawało się do tej pory, że jest jeszcze trochę czasu, ale niestety byliśmy w błędzie. Ostatni potężny wyciek ropy w Norylsku dowodzi, że planeta przeistacza się na naszych oczach. Wieczna zmarzlina odkrywa pokłady zamrożonej materii organicznej, która pod wpływem ciepła zaczyna wydzielać do atmosfery potężne ilości metanu i CO₂, a jak wiemy, nie mamy pomysłu co zrobić z bieżącą emisją. Problemem jest także to, że w wiecznym lodzie kryją się uśpione patogeny. Niektóre przetrwały tam nawet 30 tys. lat. Czy współczesny człowiek będzie w stanie sobie z nimi poradzić? Walka z Covid-19 nie daje podstaw do optymizmu.

Lekcja druga - susza

Kolejnym elementem tragicznej układanki są susze, które już dziś dają nam się we znaki. Nie wiedzieć czemu, zamiast chronić drzewa, naszych sprzymierzeńców w walce z suszą i z CO₂, wycinamy je na potęgę. To jednak tylko skromny wstęp do zniszczenia najpotężniejszych płuc Ziemi, czyli lasów Amazonii. Bez nich wpadniemy w spiralę samonapędzającej się zagłady.

Już teraz przerażeniem napawa nas nieprzewidywalne oblicze zjawisk pogodowych. Każde z nich staje się najgorszą wersją sa-



fot. pixabay.com

mych siebie. Naprzemienne susze, powódzie i tornada wyniszczają nie tylko naturalne ekosystemy. Pod znakiem zapytania stają uprawy rolne. Wysuszone, niezdatne do życia tereny zaczęły pustoszeć, a ludzie wyruszą na wędrowkę w poszukiwaniu lepszych warunków do życia. Próbkę tego zjawiska już mamy. W 2015 roku na Europę ruszyła fala uchodźców. Minęło 5 lat, a nie udało się tego problemu rozwiązać. Tysiące ludzi koczują w obozowiskach bez żadnych perspektyw poprawy swojego losu, a wielcy tego świata przerzucają się odpowiedzialnością za powstały kryzys i tak kręcimy się w kółko nie potrafiąc, czy nie chcąc znaleźć wyjścia.

Lekcja trzecia - nadzieja

Często myślimy o zagładzie jak o czymś nagłym. Ludzie forsujący granice, pożary w Australii, czy brak wody w Skierniewicach to namacalne dowody na to, że wszystko zmierza w złym kierunku. To dzieje się na naszych oczach, ale dopóki nie dotyka nas bezpośrednio to myślimy, że to nas nie dotyczy. Owszem, łapiemy się za głowę, pikietujemy, robimy zbiórki, a w mediach społecznościowych oznaczamy się odpowiednimi hasztagami. Takie wydarzenia jak pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym robią na nas wrażenie. Tyle, że to za mało. By wygrać naszą planetę potrzebne jest powszechne pospolite ruszenie wszystkich ludzi ze wszystkich krajów świata. Póki co, nie dowiedliśmy, że jako ludzkość jesteśmy w stanie zmienić priorytety. Czy politycy oddadzą pole naukowcom? Czy jeszcze uda nam się zawrócić? Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia.

SIŁA KOBIET W TRUDNYM CZASIE

O pozytywnej energii, determinacji, ciężkiej pracy i drodze do prawdziwego sukcesu

z europosłanką Elżbietą Łukacijewską oraz joginką Katarzyną Złotkowską rozmawia Joanna Burnos, założycielka Leaderis Institute



Elżbieta Łukacijewska, fot. z zasobów biura europosłanki



Katarzyna Złotkowska, fot. Edyta Ćmiekiewicz

Wywiad jest fragmentem rozmowy przeprowadzonej na żywo, dostępnej na stronie www.leaderis.com oraz na Facebook.

Jak wyglądało życie Pań w dobie narodowej kwarantanny?

EL: Moje życie zwolniło odkąd jestem w Cisnej w Bieszczadach. Powróciłam, jako kobieta i matka do takiej początkowej drogi. Staram się nadrobić te wszystkie zaległości, kiedy mnie nie było. Jestem więc absolutnie kobietą domową, oprócz oczywiście obowiązków europosła, polityka. To jest praca online, praca komisyjna, sesje organizowane przez Parlament Europejski, ale oczywiście to nie jest taka aktywność, jaka była przed koronawirusem. Poza tym

w końcu mam czas na przeczytanie zaległych książek, na nacieszenie się tą przyrodą bieszczadzką.

KZ: Moje życie wywróciło się do góry nogami, ale z jednej strony nabrało innego, ale też szybkiego tempa. Pomimo, że przeniosłam się do pracy online, to okazało się, że ta dziedzina daje mi bardzo dużo możliwości. Powstała grupa ćwiczących jogę. Rano ćwiczymy „ćwicзки” dla uwolnienia endorfin. Po południu układamy maty i ćwiczymy solidnie.

Koronakryzys dotyka mocno kobiety. Dotychczas miałyśmy się z partnerami, a teraz jesteśmy zamknięci przez tak długi czas razem w domach. W wielu przypadkach

dochodzi do wzmożenia przemocy domowej. Jakie do Was docierają sygnały związane z tym problemem?

EL: Tutaj jest wiele do zrobienia, bo we wszystkich innych krajach kobiety mogą liczyć na wsparcie psychologów, instytucji czy na to, że nie przebywają razem z tą osobą, która gnębi czy prześladowa je lub dzieci. Nie spotkałam się nigdzie, aby nasi rządzący zajmowali się tym tematem. Na pewno pomogą takie grupy wsparcia internetowe i online dla kobiet, młodzieży i dzieci. Duża liczba młodzieży w Polsce ma myśli samobójcze, a co roku ponad 4 tys. młodych ludzi podejmuje takie próby. Przed pandemią, kiedy wszystko było otwarte, mogli się spotykać z innymi młodymi ludźmi. Jeżeli

tylko możemy, to poświęcamy w takich sytuacjach swój czas na wsparcie i pomoc innym. Mam nadzieję, że też psychologowie w Polsce zdalnie w jakiś sposób wspierają te osoby.

KZ: To, z czym ja się spotykam w strefie rodzinnej, to konieczność zamknięcia w czterech ścianach we dwoje, a pamiętajmy, że we współczesnym świecie wielu ludzi żyje bardzo szybko, więc spędzamy ze sobą bardzo mało czasu i mało rozmawiamy. Teraz w tym okresie, kiedy zostajemy face to face w czterech ścianach, z ograniczoną przestrzenią i brakiem możliwości czerpania ze świata zewnętrznego, tych emocji jest bardzo dużo. Tutaj rzeczywiście spotykam się coraz częściej z sytuacjami, że kobiety mówią, że sobie już nie radzą w relacjach damsko-męskich jak i rodzinnych, w których dochodzą jeszcze dzieci.

EŁ: Tak naprawdę kryzysy czy ubóstwo najszybciej dotyczą kobiet i dzieci. Proszę sobie wyobrazić kobietę, która nagle jest jedyną żywicielką rodziny czy samotną matkę, która zostaje bez środków do życia. W mediach publicznych mówi się bardzo dużo o Tarczy 1, Tarczy 2 i kolejnych, ale jeżeli zapytamy ludzi mających własne biznesy to okazuje się, że wsparcie rządu nie działa. Pomoc w postaci 5 tys. zł. dotacji, która może (ale nie musi) zostać umorzona, podczas gdy ktoś przez miesiące przelewał tysiące podatków to tyle co nic. To ani nie uratuje firmy, ani pewnie nie pomoże tym, którzy jeszcze muszą spłacać kredyty, funkcjonować, a mają jeszcze na utrzymaniu rodzinę.

Są kraje zarządzane przez kobiety i radzą sobie dużo lepiej z koronawirusem niż Polska. Jakiego rodzaju przywództwa teraz należy oczekiwać od kobiet i jakie szczególne cechy kobiet są nam obecnie przydatne?

EŁ: To wynika z jednej, zasadniczej rzeczy, że my kobiety do polityki nie idziemy dla samej polityki, ale po to, żeby rozwiązywać problemy. Staramy się dużo bardziej niż mężczyźni. W polityce oczywiście zdarzają się też kobiety, które przyjmują postawę i narrację męską – powiedzieć to, co jest interesujące dla mediów, ukryć to, co jest niewygodne. Kobiety mówią prawdę. Te przywódczynie

nie ukrywają, nie kreślą jakiś scenariuszy, które są niemożliwe do zrealizowania i nie wykorzystują tej tragedii, jaka się wydarzyła do celów czysto politycznych. W tych trudnych czasach kobiety radzą sobie lepiej. Czy Polska jest przygotowana na takie zmiany, żeby więcej kobiet było takich, które samodzielnie rządzą, a nie są pociągane za różne sznureczki to nie umiem odpowiedzieć. To trudny temat i to, że tak mało jest kobiet na różnych wysokich stanowiskach, w różnych spółkach to wynika z obawy przed kobietami oraz braku kobiecej solidarności.

Jak można wspomagać się w dobie koronawirusa, żeby zachować balans i wewnętrzną równowagę?

KZ: Na pewno to od czego można by było zacząć to korzystać z dobrodziejstwa, jakie daje nam joga i uczyć się oddechu oraz rozluźniania przepony. Każda osoba, nie tylko w polityce, która ma bardzo dużo obciążających decyzji na sobie i ogrom pracy umysłowej, powinna nabyć umiejętność odcinania od siebie świata zewnętrznego, chociaż na moment, na chwilę. W dzisiejszych czasach w tej kulturze zachodu mówi się o „Mindfulness”, czyli zatrzymaniu się i ćwiczeniu uważności. Joga mówi o tym od dawna – o relaksie, regeneracji wewnętrznej.

Z czym wyjdziemy po tej kwarantannie? Co w nas zostanie, co nas nadszarpnie, jakie będziemy my – jako kobiety, jacy będą mężczyźni, jakie będą związki?

EŁ: Myślę, że będziemy takie same – silne, mądre, odważne, przebojowe. Być może niektóre

z większymi planami, być może z mniejszymi zaległościami, być może niektóre z większą odwagą. Być może wiele po pobycie w domu zweryfikuje swoje plany i marzenia.

KZ: U mnie przewrócił się świat do góry nogami, ale bardzo pozytywnie. Nauczyłam się i zdobyłam wiele nowych umiejętności. Świat, pomimo tej sytuacji, potrafi być tak fascynujący i dawać nam dużo możliwości. Trzeba tylko się otworzyć, nie zamykać.

Panie oddałyście w pełni ideę Leaderis Institute. My oczywiście zapraszamy do współpracy panów, natomiast chodzi nam przede wszystkim o zbudowanie pewności siebie kobiet, czyli takiego wewnętrznego, silnego przekonania nawet nie o swojej jakiejś wspałości, ale że poradzę sobie w każdej sytuacji. Jestem pewna siebie, pewna swoich kompetencji, swojej siły i że wyjdę ze wszystkiego obronną ręką. ■



Joanna Burnos_fot. 4Media Creations

SKUTKI ZDROWOTNE NARODOWEJ KWARANTANNY

Należy się spodziewać, że w niedalekim czasie, skutkiem zastosowania strategii zamknięcia w domu, pogorszy się stan zdrowia Polaków. Obecna sytuacja jaką spowodowała pandemia koronawirusa odbije się przede wszystkim na dzieciach i na pacjentach z chorobami przewlekłymi.

dr n. biol. Anna Zielińska



fot. pixabay.com

Pandemia koronawirusa, zarówno w Polsce jak i na świecie, spowodowała poważne implikacje społeczne, ekonomiczne i zdrowotne. W Polsce pierwszy przypadek zachorowania na chorobę COVID-19 został wykryty w dniu 4 marca. Od tamtej pory, według oficjalnych statystyk podawanych przez Ministerstwo Zdrowia, zakażonych zostało 27 560 osób, z czego 1 183 zmarło, 13 196 wyzdrowiało, a 13 181 nadal choruje (dane na 9 czerwca 2020 roku).

Sposoby walki z koronawirusem

Jednym z najczęściej stosowanych sposobów walki z pandemią jest izolacja i dystansowanie społeczne. Większość krajów europejskich poszła tą drogą, za wyjątkiem Szwecji, która nie wprowadziła zakazów, lecz zalecenia i początkowo Wielkiej Brytanii. W Polsce w marcu wprowadzono zakaz wychodzenia z domu bez

wyraźnego powodu, zamknięto placówki edukacyjne, instytucje publiczne, obiekty kulturalne, sportowe i rekreacyjne, zakazano odwiedzin w szpitalach i domach opieki, a także wprowadzono szereg restrykcji dotyczących funkcjonowania w przestrzeni publicznej – ograniczenia w przemieszczaniu się, obowiązek dezynfekcji rąk oraz zasłaniania ust i nosa. Zastosowanie strategii niewychodzenia z domu przez ostatnie miesiące miało na celu spowolnienie rozprzestrzeniania się wirusa poprzez ograniczenie kontaktów międzyludzkich. Jednakże analizując obecną sytuację w Polsce, spowodowaną pandemią koronawirusa, należałoby rozważyć nie tylko jakie będą efekty niewłaściwej kontroli zakażeń, ale także jakie skutki przyniesie dla zdrowia Polaków przedłużająca się izolacja społeczna.

Ryzyko dla zdrowia

Długotrwałe zamknięcie w domu sprzyja wystąpieniu czynników ryzyka dla zdrowia. Należą do nich m.in.: kryzys psychiczny, brak aktywności fizycznej i przyrost masy ciała, kryzys ekonomiczny, utrudniony dostęp do badań profilaktycznych, diagnostyki i leczenia chorób.

Należy się spodziewać, że w niedalekim czasie skutkiem zastosowania strategii zamknięcia w domu będzie pogorszenie stanu zdrowia Polaków. Obecna sytuacja jaką wywołała pandemia koronawirusa odbije się przede wszystkim na dzieciach i pacjentach z chorobami przewlekłymi.

Kryzys psychiczny

Zamknięcie placówek oświaty, niewychodzenie z domu, ograniczenie kontak-

tów z rówieśnikami oraz brak aktywności fizycznej mogą wywoływać u dzieci i młodzieży kryzys psychiczny. W badaniu przeprowadzonym wśród uczniów pochodzących z Wuhan w chińskiej prowincji Hubei zaobserwowano, że objawy depresji występowały u 23 proc. dzieci, a stany lękowe u 19 proc. W Polsce coraz więcej dzieci i młodzieży doświadcza zaburzeń psychicznych, a dostęp do wysokospecjalistycznej opieki psychiatrycznej nadal jest utrudniony. Długotrwały stres psychiczny wywołany pandemią koronawirusa z pewnością przyczyni się do pogłębienia zaburzeń psychicznych u młodych pacjentów i przyrostu liczby przypadków wymagających interwencji psychiatrycznej. Ponadto warto zwrócić uwagę na to, że dla dzieci i młodzieży ze specjalnymi potrzebami w zakresie zdrowia psychicznego nieuczęszczanie na zajęcia szkolne powoduje brak dostępu do zasobów i pomocy, na którą mogliby liczyć w szkole. Natomiast dla dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi (np. zaburzenia ze spektrum autyzmu) siedzenie w domu podczas pandemii jest niezwykle stresogenne, frustrujące i budzi niepokój, gdyż oznacza poważne zmiany w postaci zaburzenia codziennej rutyny.

Brak lub ograniczenie aktywności fizycznej

Brak aktywności fizycznej lub jej ograniczenie skutkuje u dzieci zaburzeniami stanu zdrowia, włączając w to insulinoooporność, zanik mięśni, zaburzenia rozwoju układu kostnego, zmniejszoną tolerancję wysiłku i zaburzenia wzrastania, które istotnie zwiększają ryzyko wystąpienia cukrzycy, chorób układu sercowo-naczyn-

niowego, wad postawy, niskorosłości, nadwagi, otyłości i innych chorób przewlekłych.

Przyrost masy ciała

Przewiduje się, że siedzenie w domu i niechodzenie do szkoły podczas pandemii przyczyni się do zwiększenia ryzyka rozwoju nadwagi i otyłości u dzieci i młodzieży. Z badań wynika, że u uczniów masa ciała wzrasta corocznie w okresie wolnym od zajęć szkolnych czyli w czasie wakacji. Jest to związane z określonymi zachowaniami żywieniowymi takimi jak nieregularne posiłki, wysokokaloryczne przekąski, słodkie napoje i ze spędzaniem wolnego czasu w sposób bierny, przed ekranem telewizora, komputera czy przy komórce. Podobne zachowania wykazują dzieci w czasie pandemii. Potwierdzają to również wyniki obserwacji przeprowadzonych wśród uczniów z otyłością w czasie zamknięcia szkół we Włoszech. U badanych dzieci zaobserwowano wyraźnie zwiększone spożycie chipsów, czerwonego mięsa i słodkich napojów. Uczniowie w okresie zamknięcia w domu spędzali istotnie mniej czasu na aktywności fizycznej, a zamiennie więcej przed ekranem telewizora, komputera czy przy telefonie. Wyniki przedstawionych badań wskazują, że dzieci zmagające się otyłością znajdują się obecnie w bardzo niekorzystnych warunkach utrudniających zachowanie zdrowego stylu życia.

Kryzys ekonomiczny

Globalny kryzys ekonomiczny, który spowodowała pandemia, przyczyni się do pogłębienia nierówności w stanie zdrowia. Wzrośnie liczba osób o niskim statusie społeczno-ekonomicznym, które będą bardziej narażone na choroby. Warto również zwrócić uwagę, że w czasie trwania lockdownu większość wizyt lekarskich odbywa się za pomocą telekonsultacji, jednak nie każdy chory ma możliwość skorzystania z rozwiązań cyfrowych. Rodzi to problem nierównego dostępu do leczenia.

W szczególnie krytycznej sytuacji są dzieci. Zamknięcie szkół spowodowało, że wielu uczniów z rodzin wykluczonych

społecznie nie otrzymuje wsparcia niezbędnego do osiągnięcia prawidłowego rozwoju np. w postaci szkolnych posiłków, zajęć sportowo-rekreacyjnych, czy pomocy psychologicznej. Tym samym stają się oni narażeni na pogłębienie ubóstwa, którego skutkiem będzie pogorszenie stanu zdrowia objawiającego się zaburzeniami stanu odżywienia organizmu czy pogłębieniem wad rozwojowych.

Utrudniony dostęp do badań profilaktycznych, diagnostyki i leczenia

Pandemia koronawirusa dotknęła osoby cierpiące na choroby przewlekłe. Zamknięcie przychodni i szpitali spowodowało, że chorzy mają ograniczoną możliwość skorzystania z diagnostyki, terapii i rehabilitacji. Z sondażu Centrum Badańczo-Rozwojowego Biostat wynika, że aż 73,7 proc. pacjentów ma utrudniony dostęp do leczenia specjalistycznego, i że liczba ta od początku epidemii stale rośnie. Większość wizyt odbywa się w formie telekonsultacji. Problem ograniczonego obecnie dostępu do osobistych wizyt u lekarza specjalisty został dostrzeżony przez Rzecznika Praw Pacjenta, który zaapelował do placówek medycznych o umożliwienie skorzystania z porady lekarza specjalisty zgodnie z potrzebami pacjenta i z uwzględnieniem sytuacji, gdy jest to niezbędne do prawidłowej realizacji procesu diagnostyki i leczenia chorego.

Utrudniony dostęp do placówek medycznych oznacza, że u chorych na nowotwory, schorzenia kardiologiczne, choroby płuc, schorzenia układu narządu ruchu i inne dojdzie do progresji choroby i pogorszenia jakości zdrowia. Ograniczenie funkcjonowania placówek medycznych w czasie pandemii koronawirusa odbiło się w sposób szczególny na pacjentach onkologicznych. Z raportu Fundacji Onkologicznej Alivia „Rzeczywistości równoległe. Polska onkologia w czasie epidemii COVID-19” wynika, że średni czas oczekiwania na badania skrócił się, jednak nie oznacza to wcale poprawy sytuacji chorych na raka. Powodem tego jest fakt, że większość wizyt zostało odwołanych, i że wykonywana jest tylko niewielka liczba badań obrazowych. W kwietniu 2020

roku wystawiono o połowę mniej kart DİLO niż rok temu. Pandemia pogłębiła również problem zróżnicowanego między województwami dostępu do badań diagnostycznych.

Przerwane leczenie

Do stowarzyszenia Polskie Amazonki Ruch Społeczny napływają sygnały, że pandemia koronawirusa uderzyła również w chorych na osteoporozę. Pacjenci doświadczają trudności z uzyskaniem informacji o organizacji leczenia w tym trudnym czasie. Chorzy sygnalizują także problemy związane z niemożnością odbycia osobistej wizyty w gabinecie zabiegowym w celu podania leku, czy z uzyskaniem recepty niezbędnej do kontynuacji leczenia. Wszystko to powoduje, że pacjenci chorzy na osteoporozę, często nieświadomi skutków jakie przyniesie brak ciągłości terapii, przerywają ją. W związku z tym problemem stowarzyszenie podejmuje działania informacyjno-edukacyjne i apeluje do chorych i ich rodzin o kontynuację leczenia.

Walka ze skutkami

W chwili obecnej powoli wracamy do „normalności”, czyli czasów sprzed pandemii koronawirusa. Otwarte są już przedszkola, galerie handlowe, kina, teatry, siłownie, baseny, salony fryzjerskie, można organizować wesela. Jednak czy można mówić o normalności jeśli wskutek zamknięcia w domu, zarówno u dzieci jak i u chorych przewlekłe, wystąpią poważne problemy zdrowotne? Konieczne jest więc wprowadzenie środków nie tylko zapobiegających rozprzestrzenianiu się koronawirusa, ale także przeciwdziałających niekorzystnym skutkom zamknięcia w domu podczas pandemii. U osób potencjalnie narażonych na rozwój chorób cywilizacyjnych metody prewencji mogą obejmować teleporady, porady dotyczące zdrowego stylu życia oraz programy zajęć sportowych o minimalnym ryzyku zakażenia. Natomiast pacjenci przewlekłe chorzy powinni mieć w razie potrzeby zapewniony dostęp do osobistych wizyt u lekarza specjalisty, do rehabilitacji oraz do niezbędnych badań monitorujących przebieg choroby. ■

ZOBACZYĆ ALBANIĘ

Saranda, fot. Haxhi Dulla

Czy kiedykolwiek byliście w Albanii? Rozmawialiście z Albańczykami? Czy próbowaliście ich jedzenia? Albania to urok, gościnność i tajemniczość.

Haxhi Dulla

W Albanii i Kosowie prawie wszyscy młodzi mówią po włosku, niemiecku, angielsku, a zdarza się, że po polsku. Ludzie są bardzo uprzejmi i uczynni. Nie można im odmówić, jeżeli zapraszają was na kawę. Nie warto przestrzegać diety bo jedzenie jest wyśmienite - świeże owoce i warzywa, pyszne pieczywo.

Turyści są naprawdę mile widziani

W dobie COVID-19, dzięki szybko podjętym przez rząd Albanii i Kosowa dość drakońskim decyzjom, kraje te odizolowano od źródła zakażeń i koronawirus nie zdołał się rozprzestrzenić. Po tygodniach zamknięcia w domach, nadejdzie w końcu czas cieszenia się otwartymi granicami, swobodą i podróżami. Przy podejmowaniu decyzji gdzie pojechać, oprócz oferowanych przez dany kraj atrakcji, słońca, plaż i zabytków, z pewnością liczyć się będzie to, jak radzono sobie ze zwalczaniem COVID-19. Koronawirus lubi ludzi, więc skoro mimo odzyskanej wolności, jeszcze długo trzeba będzie zachowywać

dystans wobec homo sapiens, warto wybrać mniej oczywiste miejsca warte zobaczenia.

Łatwo się zakochać w Albanii

Albania jest wspaniałym miejscem do zwiedzania i odpoczynku. Łatwo się w niej zakochać, bo to kraj bardzo urokliwy i gościnny. Długa linia brzegowa Albanii, graniczącej z Macedonią, Grecją, Kosowem i Czarnogórą, jest jedną z najpiękniejszych w Europie. Kraj oferuje jedno z najlepszych przykładów architektury osmańskiej, a także wyjątkowo czyste śródziemnomorskie powietrze i wspaniałe plaże. Warto zwiedzić: Tiranę, Durrës, Sarandę, Vlorę, Kruję, Himarę, Ksamili, Gjirokastrę, Korczę, Berat, Butrinti. Albanii jeszcze nie dotknęła plaga masowej turystyki, dlatego podróże do tego kraju zapewniają wiele niezapomnianych wrażeń i mnóstwo autentycznego, lokalnego uroku.

Warto dodać, że ceny w Albanii są konkurencyjne w stosunku do Grecji czy Chorwacji. Spragnionych słońca i opa-

lenizny przyciągają plaże nad Adriatykiem i Morzem Jońskim. Plaże nad tym ostatnim morzem sprzyjają konieczności utrzymania odległości od bliźnich. O ile plaże w Durrës lub Vlorze nad Adriatykiem są długie i szerokie, to w Himarze, Dhermi, Sarandzie czy Ksamili znajdują się w mniejszych lub większych zatoczkach, a kąpieliska oddzielone są od siebie różnorodnymi formacjami skalnymi. Lubiącym nurkowanie można polecić plażę w Gjipe, ze względu na podwodne jaskinie.

Kilka lat temu polscy turyści odkryli Sarandę. W wielu hotelach i sklepach można porozumieć się po polsku, bo Albańczycy mający zarówno talent do języków, jak i do interesów wiedzą, że nic tak przychylnie nie nastawia klienta, jak odezwanie się do niego w jego ojczystym języku.

Kiedy pojechać do Albanii? Przepisy i obostrzenia związane z koronawirusem są zmieniane na tyle często, że najlepiej śledzić je na bieżąco. Bez względu na stan padnemy najlepsze terminy, to od poło-

wy maja do końca września, z wyjątkiem sierpnia. W sierpniu Albańczycy mieszkający w innych krajach przyjeżdżają w odwiedziny do rodzin. To również czas wesel i spotkań towarzyskich, a co za tym idzie ceny są wtedy najwyższe i wszędzie panuje tłok. Za to wiosna w Albanii jest ciepła, a nawet upalna, podobnie jest we wrześniu obfitującym w owoce.

Gościnność w sercach Albańczyków

Gościnność jest charakterystyczna dla wszystkich narodów, którym przyszło na przestrzeni wieków zmagać się z przeciwnościami natury, które doświadczyły biedy i wojen. Kiedyś przybysz był kimś, kto przynosił wiedzę z dalekiego świata, dostarczając tym rozrywki i należało go należycie przyjąć, także na nocleg oraz podzielić się jedzeniem. Warto wiedzieć, że życie Albańczyków regulował Kanun, czyli prawo zwyczajowe (opracowane w XV w., przetrwało na terenach północnej Albanii i Kosowa), które do ubiegłego wieku regulowało życie społeczne, określając zasady postępowania. Zasady te były przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie i dopiero niespełna sto lat temu spisane.

Bardzo ważne w Kanunie, a istotne dla zrozumienia całokształtu tradycyjnej kultury albańskiej, jest pojęcie gościnności. Z nim dalej związane jest kolejne ważne pojęcie - honor. Dom jest bastionem Al-



Tirana, fot. Haxhi Dulla

bańczyka, miejscem, gdzie na pewno czuje się bezpiecznie. Kanun wyraźnie określa, jak należy odwiedzać albański dom. Gospodarz z zewnątrz woła, aby ktoś gościa przywitał. Następnie przybysza sadza się w centralnym miejscu domu, koło ogniska. Gość powinien pomieszać w tym ogniu. Dopiero teraz częstuje się przybysza chlebem i solą oraz myje się jego stopy. Jeśli jest to ktoś wyjątkowy, to również częstuje się go rakiją, kawą i mięsem.

Mimo takiego stosunku do gościa - wszak dom Albańczyka należy do Boga i gościa - także i przybysz zobowiązany jest do przestrzegania ścisłych reguł, których złamanie może urazić gospodarza. Znieważyc

mieszkańców domu można na przykład zdjęciem pokrywki z garnka stojącego na palenisku. Pogwałcenie tak istotnego dla Albańczyka prawa gościnności skutkuje utratą honoru mężczyzny. Osobisty honor mężczyzny może być jeszcze utracony w sytuacji, gdy ktoś nazywa go kłamcą w obecności innych osób, pluje na niego, grozi mu czy bije go. Podobnie, gdy sam mężczyzna nie dotrzymuje słowa, nie wywiązuje się z długu lub zobowiązania, gdy ktoś znieważa jego żonę czy też zabiera mu broń.

Czasy się zmieniły, gościom nóg się nie myje, ale otwartość i życzliwość wobec przybyszów, czyli obecnie turystów, w sercach Albańczyków przetrwała. ■



Ksamil, fot. Haxhi Dulla



Berat, fot. Haxhi Dulla

MOJE GÓRY

To nie góry są straszne, to ludzie są nieprzygotowani.
Góry najczęściej nie wybaczą nieprzygotowania.

Bartłomiej E. Nowak



Z Ryszardem Pawłowskim, wybitnym polskim himalaistą. Przyjaciel i partner w górach. Wyprawa na Ama Dablam (w tle), Himalaje Nepalu, fot. Bartłomiej E. Nowak

W wielu sytuacjach obserwowałem ludzi porywających się na rzeczy, które znacząco przekraczały ich aktualne możliwości. Nie uważam, że to coś złego. Taka jest natura ludzka, a góry są przecież dla każdego. W Himalajach spotykałem takich, którzy uprawiali triathlon i stosowali tzw. „dietę pudełkową”. Też godne pochwały. Ale nic nie zastąpi doświadczenia górskiego. Gdy wysokość zwiększała się do 5 000 metrów, a teren stawał bardziej skomplikowany, wytrenowanie na nizinach stawało się atutem, ale bardziej liczyły się inne elementy.

Jesteśmy sumą doświadczeń

Po latach doceniam, jak dużą rolę odgrywa tradycyjna ścieżka górską. W górach

jesteśmy sumą naszych doświadczeń, zdobywanych stopniowo. Zaczynałem od szlaków, później kurs skałkowy, taternictwo letnie i zimowe. Wreszcie Alpy i dopiero góry wysokie. Dzisiaj to coraz mniej popularny sposób, bo zajmuje czas. Świat przecież stoi otworem, a pozwolenie na Everest, za odpowiednią opłatą może dostać niemal każdy. Nie ma w tym nic złego, że ludzie chcą doświadczyć gór i zdobyć najwyższy szczyt na ziemi. Pytanie po co?

Wielu znajomych pyta mnie: kiedy Everest? Przyznam, że przez głowę mi to nie przeszło. Chodzi nie tylko o tłum, który od strony nepalskiej ciągnie z Szerpami każdej wiosny. Przyzwyczaiłem się już, że na niektórych górach jest tłoczno. Ale odkryłem też, że tych gór dla nas wszyst-

kich wcale nie brakuje. Idąc przez nepalskie wioski, czy surowe pakistańskie Karakorum, wystarczy zboczyć w dowolną dolinę, która odchodzi od najbardziej popularnych szlaków trekkingowych. Znajdziemy tam piękne szeście-, a nawet siedmiotysięczniki, na których nie stanęła jeszcze stopa człowieka.

Chyba już z naszej natury wynika, że w Tatrach wszyscy chcą zdobyć Rysy i Gerlach, w Alpach Mont Blanc, a w Himalajach Mount Everest i inne ośmiotysięczniki. Co ciekawe, na takich górach można zaobserwować, że potencjalni zdobywcy mają często problem z prawidłowym zawiązaniem raków, nie mówiąc o poruszaniu się w nich. To właśnie tam ryzyko wypadku jest największe. Bo zagrożenie dotyczy nie tylko takiego delikwenta, ale również



Lodospady, Austria, fot. Bartłomiej E. Nowak

tych, którzy spieszą z pomocą. Ludziom rzadko przychodzi do głowy, że narażają nie tylko siebie, ale też innych.

Odpowiedzialność i pokora

Cieszę się, że góry nauczyły mnie odpowiedzialności i pokory. Dzięki nim jestem lepszym człowiekiem. W stosunku do siebie i do innych. Przez lata udało mi się zbudować zaufanie do siebie samego, wiem, że w sytuacji ryzykownej potrafię sobie poradzić. Wiem też, że granica między poczuciem bezpieczeństwa, a nieodpowiedzialnością i brawurą jest bardzo płynna. Nadmierne zaufanie we własne umiejętności może doprowadzić do katastrofy. Ale brak takiego zaufania sprawia, że nie podejmujemy nowych, trudnych wyzwań. Znalezienie tego balansu, zdolność do właściwej samooceny, są jednymi z trudniejszych spraw w życiu człowieka. Moje „ja” kształtowało się właśnie między tym, co niebezpieczne, a poszukiwaniem normalnych, przewidywalnych warunków.

Wybitny pianista, Artur Rubinstein, mawiał, że kontrasty są solą muzyki. To powiedzenie znakomicie odzwierciedla filozofię gór. Kocham życie, każdą jego minutę, bo wiem jak łatwo można je stracić. Wiem, że jest jedno i nie chcę go marnować. Cieszę się z rzeczy małych: kubka ciepłej herba-

ty, wygodnego posłania, zielonej trawy na łące, czy tego, że wiatr nie wieje prosto w oczy. To są luksusy częstokroć niedostępne w surowym klimacie górskim. Gdy po zejściu w dolinę słyszę o co ludzie się spierają i jak duże emocje w to wkładają, to w duchu dziękuję górą, że uczą mnie właściwej hierarchii spraw.

Ważny jest cel i droga

Góry są dla mnie czymś magicznym, trudno osiągalnym. W bajkach mówi się „za siedmioma górą, za siedzioma lasa-

mi”. Rysownicy musieli często wspinać się na bardzo strome szczyty, walcząc po drodze ze smokami, aby zdobyć rękę upragnionej księżniczki. Tylko w górach bywa się w chmurach, a czasami nawet nad chmurami (samolotów nie liczę). Tam też występują wszystkie żywioły na raz.

Góry potrafią być bardzo intensywnym przeżyciem. Uczą, że równie ważna jak cel, jest droga. Równie ważne, jak wejście na szczyt, jest zejście z niego. Bywają prostsze niż życie, bo wybory których w górach dokonujemy, pozbawione są odcieniów szarości. Pokazują jak na dłoni, jakim jesteś człowiekiem.

Doświadczyć własnego „ja”

Przyznam, że nigdy nie myślałem o wspinaczce górskiej, jako o sporcie ekstremalnym. Nie chodzę w góry, aby doświadczyć skoku adrenaliny. Chodzę, aby doświadczyć własnego „ja”. Nie chodzę, aby ryzykować życie. Chodzę, by je odnaleźć.

Nie chciałbym wchodzić w dyskusję nad sensem ryzyka, gdyż rzadko są rozumiane. Ale czy naprawdę poważnie trenujący i wyszkolony alpinista ponosi większe ryzyko niż przeciętny kierowca samochodu na polskiej drodze? Ci, którzy w górach się nie boją, ryzykują najwięcej. Cała sztuka nie polega na wyparciu strachu, a na jego opanowaniu i przygotowaniu się na różne scenariusze.



Lodowiec Gasherbrum (Pakistan), fot. Bartłomiej E. Nowak



Na szczytach świata zawsze z flagą Unii Europejskiej Zdobycie Khan-Tengri (7010 m, Kirgistan), fot. Bartłomiej E. Nowak

Pasja wymaga poświęceń

Wiem, że dłuższe wyprawy mogą być trudne dla rodziny i potrafią skomplikować sprawy zawodowe. Dzieje się tak, gdy góry stają się częścią życia, a nie tylko kosztownym hobby. To podstawowe rozróżnienie. Pasja wymaga poświęceń. Hobby, to sposób ciekawego spędzania wolnego czasu. Ta pierwsza wymaga dobrego uzasadnienia, bo robimy coś kosztem innych spraw. Po przejściu trudnej drogi w górach żartujemy czasami: „zrobiliśmy kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty”. Chyba najbardziej lakoniczna odpowiedź na tak postawiony problem, jest taka, że chcemy zdobywać góry, bo są. Jan Paweł II podkreślał, że tak bardzo oddają królewskość człowieka. Legendarny wspinacz, Walter Bonatti, twierdził, że „góry są środkiem, celem jest człowiek. Nie chodzi o to, aby wejść na szczyt, robi się to, aby stać się kimś lepszym.”

Dlatego akceptuję niedogodności z tym związane. W górach wysokich udaje się mniej więcej tylko co druga wyprawa. Albo pogoda nie dopisze we właściwym czasie ataku szczytowego, albo człowiek straci cały bagaż gdzieś w drodze, poważnie się zatruje jedzeniem w dalekim kraju, wpadnie w szczelinę na – wydawałoby się – bezpiecznym odcinku. Nagromadzenie nieszczęśliwych zdarzeń bywa frustrujące. Nikt nie lubi wracać na tarczy, tym bardziej po pół roku wcześniejszego

ciężkiego treningu, zainwestowanym czasie i środkach.

Trudna miłość

Moje góry to trudna miłość. Jest jednak coś, co mnie przy nich trzyma. To świadomość, że jestem szczęśliwy i tam odzyskuję spokój po tysiącu różnych spraw, które na co dzień zaprzątają umysł. Szczyty gór wysokich są naturalną konsekwencją mojej Miłości. Nie zdobywam ich dla podbudowania własnego ego, choć wiele lat temu może tak było. Zdobywam je, bo jestem bliżej nieba, nocne gwiazdy

są bardziej intensywne niż cokolwiek, oglądam najcudowniejszy zachód słońca, a w dole widzę światła himalajskich wiosek. Zdobywam je, bo naprawdę muszę dać z siebie to, co najlepsze, zaufać swoim umiejętnościom, nie przejmować się trudnościami, przeczekać trudne warunki. Wreszcie zdobywam je, bo nie jestem sam. Wiążę się liną z drugą osobą, odpowiadam za nią, pomagamy sobie wzajemnie, razem przeżywamy radość ze szczytu, albo smutek odwrotu.

Czytelnikom, którzy wychodzą w góry życzę, aby każdy z Was miał swój własny „Everest”. Aby mógł go przeżywać na swój sposób, ale zawsze świadomie. Aby nie podążał za tłumem tylko dlatego, że coś jest najwyższe i konieczne trzeba taką górę mieć w swoim CV. Jaką wartość ma wejście na Everest w tłumie Szerpów, po całkowicie zabezpieczonej drodze, używając tlenu z butli, który sprawia, że organizm czuje się, jakby był dwa tysiące metrów niżej? Czy nie jest to równie etyczne, jak używanie dopingu w sporcie? Czy naprawdę zdobywamy wtedy najwyższą górę?

Bartłomiej E. Nowak – taternik, alpinista. Wspinał się w Himalajach Nepalu, pakistańskim Karakorum, Andach argentyńskich, górach Pamiru i Tien-Shan. Zawodowo wykładowca akademicki, prezes Grupy Uczelni Vistula. ■



Z Andrzejem Bargielem podczas bicia rekordu świata na Śnieżnej Panterze (wszystkie siedmiotysięczniki Pamiru i Tien-Shan), fot. Bartłomiej E. Nowak

JĘZYK GESTÓW

Przykładamy wielką wagę do słów, a one niosą zaledwie 25 proc. przekazu. Reszta to gesty, mimika, ton głosu, postawa ciała i spojrzenie. Mowa ciała zdradza emocje, nastawienie do rozmówcy i do własnych słów.

Kama Scudder

W czasach pandemii, gdy wyglądamy niczym chirurdzy oderwani od operacji, tym bardziej warto nauczyć się języka ciała. Jest spadkiem po przodkach. Ludzie zaczęli mówić dopiero 200 tys. lat temu, wcześniej komunikowali się mimiką i gestami. Gesty mogą być ilustracją wypowiedzi, podkreślać ją lub zaprzeczać.

Jeśli ktoś przysięga, że np. nie ukradł pieniędzy i przykładą do serca dłoń z szeroko rozstawionymi palcami, kłamie. Przez te palce pieniądze popłyną jak rzeka! Osoby, które wygrywają w dyskusjach nie zawsze mają twarde argumenty, one znają moc gestów. Nie tylko same zachowują się odpowiednio, ale też obserwują rozmówców. Gdy np. gesty rozmówcy zdradzają wahanie, inne argumenty poparte językiem ciała przełamują opory. Kiedy już usłyszymy słowo „nie” - przegrywamy.

Choć mowa ciała jest szczerą aż do bólu, trochę można nad nią zapanować. Tylko małe dzieci nie udają i kłamiąc zasłaniają buzię. Później staramy się kontrolować zachowanie, ale ledwie zauważalne gesty są zdradliwe. A właśnie one są ważne, gdy starasz się o pracę, prosisz o przysługę, chcesz zyskać sympatię.

Wymowne ręce

One zdradzają uczucia i nastrój. U osoby zdenerwowanej i niepewnej siebie palce są ruchliwe, bębnią po stole, skubią coś, splatają się. Rozłożone ręce pokazują bezradność, uniesione w górę poddanie się, a przyciśnięte do serca szczerą i otwartość.

Uścisk dłoni

Nastawia pozytywnie albo robi fatalne wrażenie. Kto podaje omdlewającą dłoń, „zimną rybę” jest odbierany jako osoba o słabym charakterze, zmanierowana, patrząca na innych z góry. Podawanie samych końców palców to znak lekceważenia. Taka osoba może narazić się na ściśnięcie czubków palców. Typowy uścisk polityków, czyli rękawica ma być sygnałem szczerości i uczciwości. Wywołuje odwrotny efekt, trudno uwierzyć w dobre intencje „ściskacza”, który obejmuje naszą dłoń z obu stron!

Niemieło jest też witać się z łamaczem kości miażdżącym dłoń. Taki uścisk jest typowy dla agresywnych mężczyzn, twardzieli, choć bywa też kobiecą „specjalnością”!

Dłonie przy twarzy

Gdy ktoś jest znudzony, zdenerwowany, wątpi, kłamie i chce to ukryć, wędruje dłońmi wokół twarzy. Symbolicznie kłamstwa łaskoczą, cudze i własne. Dlatego dyskretnie pocieranie nosa, oka lub

ucha można odczytać „mam nadzieję, że to nie wyjdzie na jaw”. Gdy zachowuje się tak słuchacz, mówi bez słów: „kłamie jak z nut!”

„Za ciasny kołnierzyk” najczęściej uwiera mężczyźn. Rozluźniając go chcą uwolnić się spod presji. Gwałtowniej szarpia, by stłumić gniew i uspokoić rozszalałe emocje. Delikatne odciąganie kołnierzyka pokazuje kłamstwo.

Zdradliwe krzesło

Osoba nieśmiała lub onieśmielona sytuacją siądzie na brzeжку krzesła, jakby była gotowa do ucieczki. Pełną kontrolę i lęk zdradza też „połknięcie kija”, czyli siadanie sztywne. Plecy jak struna, nogi złączone, stopy lekko cofnięte, dłonie splecione na kolanach. Mężczyzna, który odwraca krzesło i siada na nim okrakiem chce być wojownikiem. Jest dominujący, bywa agresywny, chce spełnić rozmówcę i przejąć kontrolę. Typowy filmowy detektyw podczas przesłuchania! By rozbroić wojownika, wystarczy stanąć i spojrzeć na niego z góry lub usiąść za nim.

Sposób siedzenia ukazuje też dezaprobatę. Plecy są lekko odchylone do tyłu, noga na nogę, ramiona skrzyżowane i ukryta dłoń zaciśnięta w pięść. Często siadają tak kobiety, gdy chcą okazać niechęć. Taka postawa ciała może jednak zmylić, bo np. podczas długiej konferencji szukamy wygodniejszej pozycji. Najważniejszą wskazówką jest wyraz twarzy i chowanie zaciśniętej pięści.

Trudnym przeciwnikiem w dyskusji jest też ktoś, kto sposobem siadania pokazuje własną nieomyślność. Zaplata ręce za głowę i mówi: „może kiedyś mi dorównasz”. By przełamać ten gest, można pobać się w lustro i usiąść tak samo, ale trudno udawać osobę wszechwiedzącą przy szefie. Można też wstać lub zwrócić uwagę na coś, co znajduje się poza zasięgiem wzroku „nieomylnego”.

Sylwetka otwarta i zamknięta

Osoba pewna siebie i spokojna jest wyprostowana, prosto trzyma głowę. Ktoś zalekniony lub źle czujący się w towarzystwie garbi się, kuli ramiona, opuszcza głowę. Jego ciało krzyczy „boję się, wstydę, nie wierzę w siebie”. Postawę zamkniętą zdradza skrzyżowanie nóg i zaplecenie rąk na piersiach. Taka bariera nie musi świadczyć o niechęci, jest tarczą obronną. Tak zachowują się ludzie niepewni siebie, którzy znajdują się wśród obcych.

Postawą agresywną jest zakładanie rąk na biodra, niczym rewolwerowiec albo jedna ręka na biodrze, a druga podpira ścianę. Sylwetka mówi „spróbuj mnie zaatakować, a pożałujesz!”. Swobodniejszą postawę ciała można wytrenować, prostuj się nie tylko dla zdrowia, oddychaj głębiej, ręce trzymaj swobodnie wzdłuż ciała, a ludzie odbiorą cię pozytywniej. ■

DRUKARNIA

FOLDRUK FOLION SP.J.

ul. Poezji 19, 04-994 Warszawa

e-mail: adam@foldruk.pl

www.foldruk.pl

tel. (+48) 22 872 00 54
tel./fax: (+48) 22 872 05 73
tel. kom.: 0 502 223 534



Świadczymy usługi w zakresie druku offsetowego, sitowego oraz wielkoformatowego. Posiadamy również własną introligatornię.

Oferujemy kompleksową obsługę firm w materiały POS.

Swoim Klientom oferujemy szeroką ofertę usług, wieloletnie doświadczenie oraz wysoką jakość produktów.

Drukujemy:

- broszury
- foldery
- katalogi
- plakaty
- opakowania
- teczki
- materiały POS
- wizytówki
- papiery firmowe





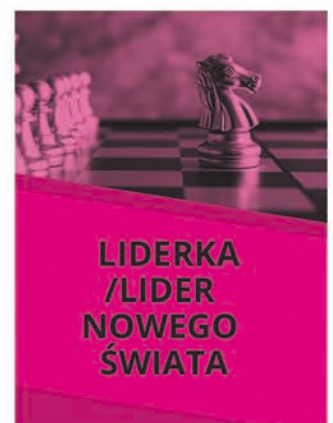
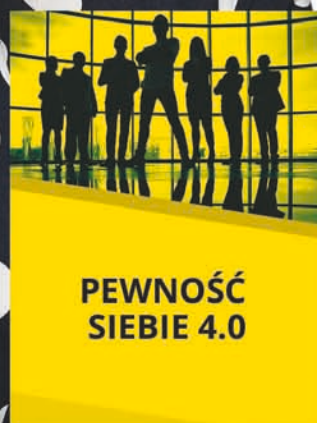
LEADERIS

YOUR TURN



SZKOLENIA

- ONLINE
- DEDYKOWANE
- OTWARTE



Kontakt:
www.leaderis.com
info@leaderis.com